



Ziemia Lubliniecka

MAGAZYN SPOŁECZNO-KULTURALNY

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY

GAZETA POWIATOWA

ISSN 1641-1935

NR 2/2016 (137)



foto: Tomasz Neliszer

Dwory i pałace Ziemi Lublinieckiej

Gmina Ciasna położona jest w północno-zachodniej części powiatu lublinieckiego. Zachowało się tutaj szczególnie wiele obiektów kultury materialnej. Obok pałacu w Ciasnej, także w Sierakowie, Patoce i Wędzinie zachowały się podobne obiekty historyczne, będące świadkami historii tej Ziemi.



PATOKA

to miejscowość położona w gminie Ciasna zaledwie kilka kilometrów na wschód od Sierakowa. Znajduje się tutaj okazały pałac neobarokowy, będący świadkiem historii naszej ziemi. Na początku XIX w. Panoszków i Zborowskie, wraz z okolicznymi folwarkami, należały do Edwarda von Kosielskiego. W 1888 r. panem tych dóbr, wraz z Patoką, liczących ok. 2,5 tys. ha został książę Hugo von Radolin z Jarocina. Pochodził on ze starego polskiego rodu rycerskiego Koszutskich spod Poznania. Jego przodek, Stanisław Koszutski, w XVI w. poślubił Dorotę Radolińską, dziedziczką dóbr Radolin, przyjmując z czasem także nazwisko od nazwy majątku. W XVII w. (1671 r.) kasztelan Andrzej Radoliński nabył miasto Jarocin w Wielkopolsce, które aż do 1945 r. należało do rodu. W 1836 r. Władysław Emeryk uzyskał od króla pruskiego tytuł hrabiowski. Jego syn Hugo w 1888 r. otrzymał od cesarza niemieckiego Fryderyka Wilhelma III tytuł księcia Fürst von Radolin. Hugo był dyplomatą we Francji i Włoszech, a także wysokim



Herb książąt von Radolin



Pałac w Patoce

urzędnikiem cesarskim w ambasadach, m.in. w Madrycie i Stambule oraz na dworze w Berlinie. W tym czasie książę Hugo von Radolin nabył także majątki na Górnym Śląsku. Prawdopodobnie właśnie wtedy powiększono i przebudowano na styl neobarokowy pałac w Patoce. Zamieszkał w nim syn księcia, hrabia Alfred von Radolin. Po jego śmierci w 1910 r. oraz śmierci księcia Hugo von Radolin, spadkobiercą majątku został najstarszy wnuk, książę Jan Hugo von Radolin, który zarządzał majątkiem aż do II wojny światowej.

Po 1945 r. w pałacu znajdowała się szkoła ogrodnicza, później ośrodek leczniczo-odwykowy. Obecnie odremontowany obiekt jest w rękach prywatnych.

WĘDZINA

to miejscowość w gminie Ciasna położona w najdalej na północny zachód wysuniętej części gminy i powiatu. Także tutaj świadkiem historii jest neoklasycystyczny pałac z II poł. XIX w. Pierwsza wzmianka historyczna o Wędzinie pochodzi z 1679 r. Od późnego średniowiecza do przełomu XVII-XVIII właścicielami tych ziem był hrabiowski ród von Gashin. W następnych latach rodzina Goschitzki, baronowie Rouzitz de Helm, a później von Spiegel i Retter. Ostatnimi właścicielami majątku był, pochodzący z Moraw i Dolnego Śląska, ród von Studnitz. W 1855 r. Feliks von Studnitz poślubił Marię von Jordan, córkę właściciela Sierakowa Karola von Jordan. Jedną z pierwszych posiadłości rodu na Śląsku były Gierałcice (dziś powiat kluczborski). Na początku XX w. Feliks von Studnitz zakupił liczącą ok. 800 ha majątek Wędzina. Ostatnim prywatnym właścicielem majątku i pałacu był jego syn Bernard von Studnitz.



Herb rodziny von Studnitz



Pałac w Wędzinie

Bogusław Hrycyk

Kat i ofiara w jednym stali domu

By Bundesarchiv,
Bild 183-C16768A
/ CC-BY-SA 3.0,
CC BY-SA 3.0 de,
<https://commons.wikimedia.org/w/index.php?curid=5361535>



By nieznanym - Ökumenisches Heiligenlexikon (public domain), Domena publiczna, <https://commons.wikimedia.org/w/index.php?curid=11853231>

Do postaci pochodzących z Lublińca, które ponuro zapisały się w historii, należy z pewnością urodzony tutaj 27 maja 1879 roku, przy ówczesnej Rosenbergerstrasse (obecna ul. Mickiewicza 8), syn weterynarza. W domu tym przez kilka lat równocześnie z Lammersami mieszkali przed przeprowadzką do Wrocławia rodzice Edyty Stein, przyszłej świętej Teresy Benedykty od Krzyża – Augusta i Zygryd Steinowie z dziećmi. Dom ten stoi i dzisiaj, i nadal jest użytkowany.

Po studiach prawniczych we Wrocławiu i Heidelbergu w r. 1912 Lammers mianowany został sędzią Sądu Okręgowego w Bytomiu. Po odbyciu służby wojskowej w czasie I wojny światowej rozpoczął pracę w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych Rzeszy jako radca ministerialny, a w r. 1933, po dojściu do władzy nazistów, objął stanowisko szefa Kancelarii Rzeszy jako sekretarz stanu. Do tego czasu Lammers był działaczem Niemieckiej Narodowej Partii Ludowej, od roku 1932 należał do NSDAP.

Lammers był pozbawionym wyobraźni biurokrata łączącym służbistość z wrodzoną brutalnością. Przez Hitlera był niezwykle ceniony za prawnicze rozeznanie i uważano go za najważniejszego doradcę w sprawach państwowych. Lammers niekiedy na całe miesiące przenosił się z całą kancelarią do prywatnej siedziby Hitlera w Obersalzbergu i służył fuhrerowi poradami prawnymi. Był członkiem Niemieckiej Akademii Prawa. W 1937 r. został ministrem Rzeszy bez teki, zaś w r. 1939 ministerialnym radcą do spraw obrony Rzeszy. W 1940 r. otrzymał tytularny stopień SS-Obergruppenführera. Pod nieobecność Hitlera od stycznia 1943 r. przewodniczył posiedzeniom gabinetu i wraz z Bormannem osiągnął znaczną nieformalną władzę. Zarządzał specjalnymi i reprezentacyjnymi funduszami Hitlera oraz dysponował jego osobistą pieczęcią firmową. Od roku 1943 wszystkie rozkazy, które wymagały podpisu Hitlera musiały uzyskać zatwierdzenie tzw. triumwiratu, składającego się z Lammersa, Bormanna i feldmarszałka Keitla. Jego dewizą życiową było „nie słuchać zła i nie widzieć zła”, czyli stała gotowość podpisywania kryminalnych dekretów Hitlera.

Uknuła przeciwko niemu intrygi przez Bormanna doprowadziły do aresztowania Lammersa. Po wojnie był internowany przez władze alianckie, a w r. 1949 stanął przed sądem w tzw. procesie Wilhelmstrasse, oskarżony o sformułowanie i nadanie rangi przepisów prawnych zarządzeniom prowadzącym do „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej”. Międzynarodowy Trybunał Wojskowy w Norymberdze skazał Lammersa na 20 lat więzienia, lecz amerykański Wysoki Komisarz zmniejszył wyrok o połowę i w 1951 r. zwolnił go z twierdzy Landsberg.

Lammers zmarł w r. 1962 w Dusseldorfie, w 20 lat po prześladowanej przez podobnych Lammersowi ludzi – Edycie Stein.

Michał Janusz

Ziemia Lubliniecka – Magazyn Społeczno-Kulturalny

Wydawca: Powiat Lubliniecki

Redaktor naczelny: Bogusław Hrycyk; pismo redagowane przez Kolegium Redakcyjne w składzie: Arkadiusz Baron, Krzysztof Kancelerz, Marzena Koza, Andrzej Musioł, Wojciech Poznański, Edward Przebieracz, Sebastian Ziółek, Mariusz Żymierski

Adres Redakcji: Starostwo Powiatowe w Lublińcu, ul. Paderewskiego 7, tel. (34) 35-10-500, wew. 601, e-mail: gazeta@lubliniec.starostwo.gov.pl

Nakład: 3000 egz.

Skład i druk: Drukarnia Sil-Veg-Druk;

www.svd.pl; tel.: 34 356 29 61

Materiały do gazety przyjmowane są w siedzibie Starostwa Powiatowego w Lublińcu, pokój 21. Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzega sobie także prawo ich skracania. Nieprzyjmowane są artykuły niepodpisane. Redakcja nie odpowiada za treść artykułów.

Spis treści

DWORY I PAŁACE ZIEMI LUBLINIECKIEJ	2
KAT I OFIARA W JEDNYM STALI DOMU	3
HISTORIA PRASY LOKALNEJ (I)	4
KLERYK ALFONS MAŃKA (1917–1941)	5
KSIĄDZ PAWEŁ ROGOWSKI (1871–1922)	6
JAN FIKUS SENIOR	7
WILHELM CHROBOK – ŻOŁNIERZ ODDZIAŁÓW SPECJALNYCH W III POWSTANIU ŚLĄSKIM	8
OPOWIEŚCI BORONOWSKIE	9
180-LECIE MUROWANEJ SZKOŁY W KOCHANOWICACH (II)	11
LEŚNA KAPLICA HRABIEGO BALLESTREMA	12
WIECZOREK FRANCISZKAŃSKI Z OJCEM ŚWIĘTYM FRANCISZKIEM	13
AROMAT GÓRNEGO ŚLĄSKA	14
PIĘKNE LITOGRAFIE SPALONEGO KOŚCIOŁA Z ŁAGIEWNIK WIELKICH	18
OBIEKTY MOSTOWE WĘZŁA KOLEJOWEGO HERBY NOWE (I)	20
PRADZIEJE LUBLIŃCA	23
15 LAT MINĘŁO	23
LUBLINIEC WCZORAJ I DZIŚ	24

Historia prasy lokalnej (I)

Od czasu, kiedy w 1450 roku Johannes Gutenberg wynalazł pismo drukowane w szybkim tempie zaczęło ono eliminować królewskich heroldów, którzy dotychczas odczytywali na wiejskich i miejskich zgromadzeniach rozporządzenia królewskie i innych możnowładców. Gazeta jako pierwsza z środków masowego przekazu miała charakter relacji, sprawozdania, nazywana była również nowinami. Pierwsza gazeta w języku polskim ukazała się w 1550 roku pod tytułem „NOWINY Z KONSTANTYNOPOLA”. Regularnie na naszych ziemiach ukazywał się od stycznia 1661 roku „MERKURIUSZ POLSKI” jako gazeta rządowa króla Jana Kazimierza.

Na terenie powiatu lublińskiego prasa lokalna – ukazuje się już od ponad 170. lat. Można ją podzielić na prasę: samorządową, komercyjną, społeczną, parafialną i okolicznościową.

Pisma samorządowe reprezentują: *Lublinitzer Kreisblatt*, *Oberschlesischer Bote Stadtblatt für Lublinitz*, *Gutentag*, *Woschnik*, *Lubliniecki Tygodnik Powiatowy*, *Nowiny Lublinieckie*, *Ziemia Lubliniecka*, *Wiadomości Ziemi Woźnickiej*, *Wieści Gminne – Kochanowice*, *Express Gminny – Ciasna*, *Informacje Gminne – Herby* i *Biuletyn Informacyjny Gminy Boronów*.

Pisma komercyjne reprezentują następujące tytuły: *Gazeta Lubliniecka*, *GWAREK Wiadomości tarnogórsko – lublinieckie*, *Lubliniec – dodatek Dziennika Zachodniego*, *Twój Powiat* dodatek *Trybuny Śląskiej*, *NEWS EthosEnergy*, *TERAZ Lubliniec*, *Echo Powiatu*, *ŁĄCZNIK*. Do pism redagowanych przez organizacje społeczne należą: *Porozumienie Samorządowe*, *Lubliniecka Samoobrona*, *MŁODZI I NIEZALEŻNI*, *FORUM Społeczno – Gospodarcze*.

Gazetki i pisma parafialne to: *Tygodnik Parafii Lublinieckiej*, *PRAWDA I KRZYŻ*, *U OBLATÓW/U OBLAT*, *Informator Parafii św. Mikołaja*, *EWANGELIA KRZYŻA*, *PROXIMUS*.

Prasę okolicznościową reprezentują gazety tzw. jednodniówki: *Jednodniówka 50-lecie OSP w Lublińcu*, *Młody Obywatel*, *Pobudka Wsi*, *Jednodniówka 25-lecie Gimnazjum w Lublińcu*.

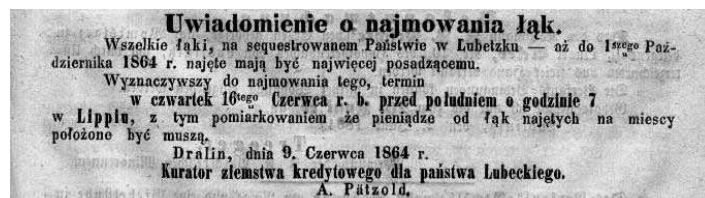
Lubliniecka prasa lokalna była i jest zapisem historii naszego miasta i powiatu, jego mieszkańców, rozwoju społecznego-gospodarczego. Warto więc przybliżyć jej charakterystykę i tematykę szpalt poszczególnych tytułów.

Pierwszą lokalną gazetą, która ukazała się w Lublińcu, był wydawany od dnia 7 I 1844 roku *LUBLINITZER KREISBLATT*. Gazeta ta była tygodnikiem redagowanym przez ówczesne Królewskie Starostwo Powiatowe, zaś wydawcą była drukarnia Juliusa Pletznera.



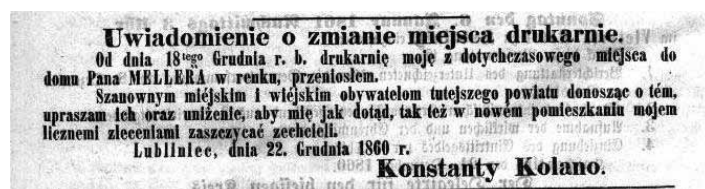
W nagłówku tygodnika widniał pruski orzeł z inicjałami ówczesnego króla Prus Fryderyka II Wielkiego (*Friedrich Rex*). Gazeta miała charakter informatora o rozporządzeniach administracyjno – podatkowych i rozporządzeniach władz wojaskowych. W późniejszych latach zamieszczano również ogłoszenia o charakterze gospodarczym i kulturalnym. Tygodnik

drukowany był w języku niemieckim gotyką czcionką, tzw. *frakturą*, ale od stycznia 1846 roku pojawiały się w *Lublinitzer Kreisblatt* czasami ogłoszenia w języku polskim. A oto jedno z pierwszych drukowanych ogłoszeń w oryginalnej pisowni:

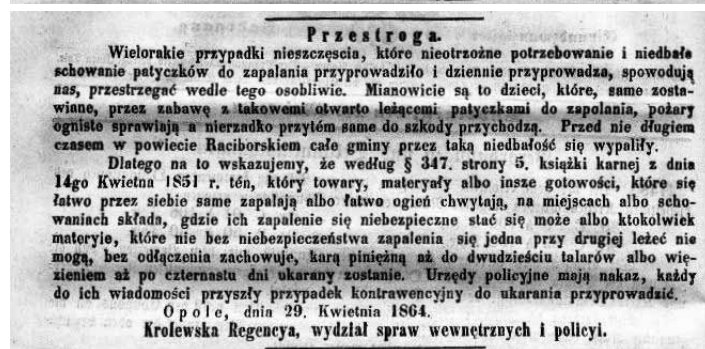
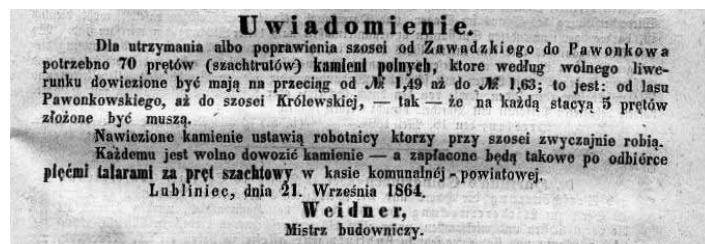


Od 1847 roku gazeta powiatowa drukowana była w Lublińcu w drukarni Arnolda Kukutscha.

W styczniu 1858 roku druk tygodnika przejęła drukarnia Constantina Kolano, usytuowana naprzeciwko kościoła św. Mikołaja. W dwa lata później nastąpiła zmiana lokalizacji drukarni, o czym informowało ogłoszenie:



A oto jedno z ciekawszych ogłoszeń, ukazujących sprawę i język polski ówczesnych lublińszczan.



Lublinitzer Kreisblatt drukowany był do 1922 roku, czyli do czasu przejścia powiatu lublinieckiego przez władze polskie po wygranym plebiscycie. W czasie 78. lat istnienia gazety drukowane w niej były również komunikaty wojenne z czasów wojny prusko – francuskiej (1871–1872) oraz I wojny światowej (1914 – 1918), które zamieszczały listy ofiar z terenu naszego powiatu. Dzięki zachowanym w Muzeum Śląskim w Bytomiu oraz Archiwum Państwowym w Katowicach oryginałom mamy bogate źródło informacji o życiu mieszkańców Lublińca i powiatu z przełomu XIX i XX wieku. CDN.

Andrzej Musioł

Kleryk Alfons Mańka (1917–1941)

Alfons Mańka urodził się 21 października 1917 r. w Lisowicach. Rodzicami jego byli Piotr Mańka, który pracował na kolei i Karolina z domu Sojka, z Solarni. Alfons miał dziecięcioro rodzeństwa: Waleskę, Klarę, Pawła, Józefę, Maksymiliana, i Ludwika; w dzieciństwie zmarli: Franciszek, Konrad i Gertruda. Alfons został ochrzczony 28 października 1917 r. w kościele parafialnym pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Lubecku, jego chrzestnymi byli Jan Kandora z Pluder i Anna Sojka z Lublińca.

W domu rodzinnym praktykowano wspólną modlitwę, zwłaszcza różaniec. Młody Alfons chętnie chodził do kościoła. Był chłopcem wrażliwym i uzdolnionym. Uczył się grać na skrzypcach, dobrze się uczył i pięknie malował. Jeździł na pielgrzymki do Częstochowy i Piekar. 18 maja 1928 r. biskup Lisiecki, udzielił sakramentu bierzmowania Alfonsowi, który z tej okazji przyjął imię Antoni.

Po ukończeniu szkoły powszechnej został przyjęty do gimnazjum w Lublińcu (lata 1929–1934), gdzie dojeżdżał rowerem. Poznał tam misjonarzy oblatów w kościele św. Stanisława Kostki. Po odkryciu swojego powołania wstąpił do Małego Seminarium Oblatów w Lublińcu (lata 1934–1937). Poszedł śladami swego starszego o dwa lata brata Piotra, który 21 maja 1935 r. złożył śluby zakonne OMI w Markowicach.

Alfons Mańka po zdaniu matury rozpoczął nowicjat w Markowicach, gdzie jego wychowawcą był o. Józef Cebula OMI. W trakcie nowicjatu Alfons prowadził dziennik duchowy tzw. *Recapitulatio dei* (od 15 września 1937 r. do 23 sierpnia 1938 r.) W dzienniku można śledzić jego dojrzewanie chrześcijańskie i proces wyrzeczenia się wszystkiego dla miłości Jezusa. Tak opisuje swoje przemyślenia młody kleryk: *Jezu, dla Ciebie chcę cierpieć przez całe życie, dla Ciebie chcę uśmiechać się przez łyżę (...). Jezus ideałem moim, Jezus skarbem moim, więc przy Nim ma myśl, przy Nim me serce (...). Opuściłem swój dom rodzicielski, krewnych i przyjaciół, aby naśladować Jezusa, aby iść za Nim więc nie wolno w klasztorze ręk założyć i wygodnie spocząć, bo Jezus przede mną krzyż niesie (...).*

Od 1 kwietnia do 11 maja ciężko chorował i kurował się pod opieką lekarzy. W notatce z 7 lipca 1938 r., sporządzonej z okazji dopuszczenia do pierwszych ślubów, można przeczytać: *Miły w stosunku do konfratrów i jako wzorowy nowicjusz świecił przykładem. Dlatego też jednomyślnie został dopuszczony do pierwszych ślubów. Pierwsze śluby zakonne złożył 8 września 1938 r. Po nich rozpoczął studia filozoficzne w Krobi koło Gostynina, z końcem sierpnia powrócił do Markowic. Działania wojenne zmusiły jednak oblatów do wyjazdu na wschód, do Kodnia. W październiku wrócili do Markowic, gdzie został nałożony na nich areszt domowy z obowiązkiem pracy przymusowej w okolicznych folwarkach niemieckich. W tych warunkach Alfons, wraz z czterema innymi braćmi, kontynuował studia filozoficzne (pod kierunkiem ojców Jana Nawrata i Józefa Krawczyka) i przygotowywał się do kapłaństwa.*

2 maja 1940 r., w związku z wiadomością o śmierci ojca w obozie koncentracyjnym w Buchenwaldzie, napisał ostatni list z Markowic do matki. Przed wysłaniem tego listu o. Józef Cebula dopisał: *Alfonsa już tu nie ma, w sobotę wyjechał z innymi na pracę, nie wiem, gdzie.*

4 maja wraz z 15 innymi braćmi został deportowany przez gestapo do obozu w Szczeglinie koło Mogilna. Brat Józef



Maksymiuk OMI w swoich wspomnieniach pisze o tym tak: *Tam to dostaliśmy największe bicie, gdzie zaraz po przyjeździe ganiał nas esmani po placu łamiąc na naszych karkach świeżo wycięte kije, dobyłem ostatnich sił, by dowieść się do stajni. Oglądam się na podwórze, o zgrozo, brat Mańka leży zemdlony, a po nim skacze trzech tęgich esmanów. Gdy się już napastliwi do syta, kazali mu lecieć do stajni, gdy tymczasem on nie mógł się ruszyć z miejsca. Wtedy dwóch fratrów, którzy się trochę lepiej trzymali na nogach, podskoczyli do niego wzięli go pod ręce i przywlekli do stajni po jakimś czasie brat Mańka oprzytomniał. Po trzech dniach Alfons został przewieziony do obozu koncentracyjnego w Dachau. Tam, dostawszy numer obozowy 9348, od 9 maja do 2 sierpnia 1940 r. odbywał kwarantannę i doświadczał realiów życia obozowego.*

Następnie został deportowany do KL Mauthausen-Gusen, koło Linzu, w Austrii, gdzie miał numer obozowy 6665. Ze wspomnień brata Maksymiuka: *Głęboko w pamięci utrwaliło mi się ostatnie spotkanie w trzecią niedzielę adwentu, kiedy to kilku z naszych fratrów przyszło na mój blok, gdzie pod przewodnictwem brata Mańki recytowaliśmy Mszę św. Potem brat Mańka przemówił do nas na temat „Zgadzam się z wolą Bożą”, czym podniósł nas mocno na duchu i dodał nadziei w przetrwaniu obozu. W listach z obozu do swej matki pisał, martwiąc się jak rodzina radzi sobie na gospodarstwie i troszczył się o swoich braci, czy dostali już wezwania na front. Ciężka praca w kamieniołomach, głód i ciągłe bicie doprowadziły jego organizm do zapaści. Dzięki sekretarzowi bloku udało mu się dostać do obozowego szpitala. Tam pozyskał sobie sympatię pielęgniarzy, którzy starali się go uratować. Zabiegi te okazały się jednak daremne. Widząc nadchodzącą śmierć, modlił się prawie bez przerwy i odbył spowiedź u kapłana, który leżał chory obok niego. Oddał swoją duszę Bogu 22 stycznia 1941 r., mając zaledwie 23 lata.*

Oto świadectwo wydane przez jego współbraci: *Umarł jak żył święcie. Wycieńczony głodem, wśród bicia i straszliwych męczarni, nie wypowiadając słowa skargi. Na ustach jego była nieprzerwana modlitwa. Zawsze był skupiony. Widzieliśmy go po śmierci, był to szkielet z anielską twarzą (...). Ze wspomnień brata Józefa Maksymiuka: *Pierwszy dzwonek na spanie wszyscy zlatywali się do baraku trupiarni. Byłem ostatni, zaraz po mnie wszedł kapo, zamknął drzwi na klucz i zaświecił światło ujrzałem sześciu fratrów zgrupowanych w przedśionku. Dwóch poszło do środka trupiarni, by przynieść w trumnie podobnej do skrzyni, śmiertelne szczątki brata Mańki. Ciało, a właściwie szkielet obciążony skórą, ślady głodu można było zauważyć we wszystkich członkach mizernej postaci (...) po modlitwie odniesiono zwłoki brata Mańki na miejsce.**

Ciało kleryka Alfonsa Mańka zostało spalone 28 stycznia 1941 r. w obozowym krematorium. Kiedy rodzina otrzymała jego rzeczy z Markowic, znalazła tam karteczkę z napisem *Będę Bogu wierny aż do śmierci. Kleryk Alfons Mańka jest jednym z 122 Sług Bożych, wobec których 17 września 2003 r. rozpoczął się proces beatyfikacyjny drugiej grupy polskich męczenników z okresu II wojny światowej. Kleryk Alfons nie przeszedł weryfikacji krajowej, kiedy wnoszono tę prośbę, nie były jeszcze znane jego dzienniczki duchowe i nie było bliższych materiałów o jego sylwetce duchowej.*

Marian Mańka – Lisowice

Ksiądz Paweł Rogowski (1871–1922)

W minionym roku szkolnym w szkołach naszego powiatu odbył się konkurs nt. patronów ulic miejscowości wchodzących w jego skład. Mój syn zapytał, którą z lublinieckich ulic opisałbym będąc na jego miejscu. Nie zastanawiałem się długo, gdyż wielkie postaci z historii Polski wydały mi się „otrzaskane”, zaś ks. Rogowski zasługuje na ciągłe przypomnienie. W jego życiorysie skupiają się, jak sądzę, wszystkie te problemy związane z polskością i śląskością, które nie zawsze są zrozumiałe w innych dzielnicach naszego kraju. *Summa summarum* syn podjął temat i po przeczytaniu tego, czym dysponujemy (a było co czytać), przedstawił w szkole.

Ksiądz Paweł Rogowski urodził się 25 stycznia 1871 roku w Dębskiej Kuźni, w powiecie opolskim, jako syn chałupnika Jana i Magdaleny z d. Bias. Rodzina Rogowskich żyła bardzo skromnie, dlatego prawdopodobnie młody Paweł, gdyby nie pomoc proboszcza w Dębciu, ks. Karola Wątróbki, nie uzyskałby wykształcenia akademickiego. Jego farorz zadbał, wzorem wielu innych proboszczów śląskich (np. ks. Jan Ficek, ks. Teodor Chistoph), aby ukończył szkołę ludową, a następnie umieścił w konwiktie biskupim dla chłopców we Wrocławiu. Tam 27 lutego 1894 roku ukończył Gimnazjum św. Macieja. Ciekawe, że już w trakcie nauki w szkole średniej przejawiał zaangażowanie społeczne udzielając korepetycji, z których dochód przeznaczał na uposażenie uboższych kolegów. Widać tutaj, że przykłady pociągają. Myślę, że dobro jakie otrzymał od ks. Wątróbki zaowocowało podobną postawą. Dodatkowo zaczął działać w Towarzystwie św. Wincentego á Paulo, będącym organizacją dobroczynną, która po podziale Górnego Śląska, już w nowej diecezji katowickiej, zostanie przekształcona w Caritas diecezjalny.

Po zdaniu matury, chcąc zrealizować powołanie do kapłaństwa, wstąpił na Wydział Teologiczny Uniwersytetu Wrocławskiego, a w 1895 do konwiktu teologicznego. Od początku studiów zaangażował się w prace korporacji studenckich. W drugiej połowie XIX w. na Uniwersytecie Wrocławskim działało wiele organizacji skupiających studentów z Górnego Śląska. Towarzystwa te, oprócz angażowania studentów tej ziemi w celach towarzyskich i samokształceniowych, były również świetną miejscem uczenia się zasad działania w ramach struktur państwowych, samorządowych i innych. Paweł Rogowski przystąpił w kwietniu 1894 r. do Towarzystwa Akademików Górnoszlązaków. 6 października 1897 r. ukończył studia, a 11 czerwca 1898 r. otrzymał święcenia kapłańskie z rąk kard. Georga Koppa, ordynariusza wrocławskiego. Jego pierwszą placówką wikariuszowską była parafia Najświętszej Maryi Panny w Bytomiu, do której został skierowany 18 sierpnia 1898 r. Jak się okazało była to jedyna wspólnota, w której posługiwał jako wikary. W Bytomiu zdobył miano „polskiego księdza”, który obok troski o ubogich parafian wygłaszał kazania w języku polskim.

Po śmierci ks. dziekana Karola Klozego został, 13 listopada 1902 roku, proboszczem parafii św. Józefa w Jędrysku. Rozwijając tam szeroką działalność społeczną przyciągnął zainteresowanie policji, która zaliczyła go do grona niebezpiecznych działaczy polskich. Założył m.in. Polskie Towarzystwo Robotników św. Józefa, polską czytelnię i organizację spotkań dokształcających dla młodzieży. Tym samym wpisał się w poczet księży śląskich, jak np. ks. Paweł

Łukaszczyk z Chorzowa, którzy pracę duszpasterską łączyli działalnością opartą o Katolicką Naukę Społeczną. Namawiał parafian do pielgrzymowania do Galicji i Krakowa, a także sprowadzał do swej parafii krakowskich jezuitów, gdyż na terenie Cesarstwa nie byli oni obecni. Był krytykiem polityki Centrum, ale jednocześnie nie związał się z ruchem Wojciecha Korfantego. Jego poglądy oscylowały wokół formacji o programie polsko-katolickim, w którym zawarte były idee głoszone zarówno przez „Katolika” jak i „Górnoszlązaka”, wydawanego przez Korfantego. 30 grudnia 1906 roku podpisał, wraz z innymi dwunastoma duchownymi, „Odezwę księży” popierającą politykę Koła Polskiego w parlamencie Rzeszy. Próbował swoich sił w wyborach parlamentarnych, kandydując na posła 25 stycznia 1907 roku z ramienia Polskiego Prowincjonalnego Komitetu Wyborczego okręgu kluczborsko-oleskiego. Otrzymał aż 5161 głosów, lecz nie wystarczyło to do uzyskaniu mandatu. W wyborach 1908 r. był przewodniczącym Polskiego Komitetu Wyborczego w Tarnowskich Górach, organizując zjazdy i wiece. Ponadto współpracował z różnymi organizacjami polskimi mającymi swoje oddziały na ziemi lublinieckiej i tarnogórskiej, takimi jak Zjednoczenie Zawodowe Polskie, Związek Kupców Polskich, Towarzystwo Polskich Przemysłowców, Towarzystwo Gimnastyczne „Sokol”, Towarzystwo Pomocy Naukowej dla Śląska oraz Towarzystwo „Kasyno” w Bytomiu.

Na terenie parafii w Jędrysku utworzył centrum spotkań religijnych i narodowych, do którego licznie przybywali mieszkańcy pobliskich powiatów, co w raportach policyjnych było przedstawiane jako miejsce agitacji politycznej. Łatka „niebezpiecznego agitatora” ściągnęła na ks. Rogowskiego represje w postaci częstego stawania przed sądami w Tarnowskich Górach i Bytomiu. Cztery z wyroków zakończyły się skazaniem go na łączną karę 500 mk grzywny, a dwa były uniewinniające. Działalność ks. Rogowskiego była także przedmiotem korespondencji prezydenta rejencji opolskiej Schverina z kard. Koppem. Planowano m.in. usunięcie go z urzędu proboszcza w Jędrysku z powodu kłopotów zdrowotnych, dlatego od 7 września 1912 do 1 czerwca 1913 przebywał przymusowo w domu braci aleksjanów w Weissensee k. Berlina. Po powrocie zaniechał wszelkiej pracy politycznej do 1918 roku, gdy w wyborach uzupełniających do parlamentu Rzeszy opowiedział się po stronie W. Korfantego. Podczas I Powstania Śląskiego został uwięziony pod fałszywym zarzutem strzelania do żołnierzy Grenzschutzu. Wydarzenie to oraz pogarszający się stan zdrowia sprawiły, że po uwolnieniu i oczyszczeniu z zarzutów zrzekł się urzędu proboszcza i za zgodą biskupa osiadł w Lublińcu.

Tutaj pomagał duszpastersko w parafii św. Mikołaja u boku proboszcza ks. Edwarda Sobka, a także w parafii św. Józefa w Sadowie, gdzie rządcą był ks. Karol Urban. Pobyt w Lublińcu wykorzystał również na pracę narodową, ogłaszając w „Gazecie Opolskiej” otwarcie z dniem 4 kwietnia 1920 roku polskiego gimnazjum. Sprawa tej szkoły jest dość zagadkowa i nastrocza wiele pytań o lokal, grono pedagogiczne, status prawny w stosunku do ustawodawstwa niemieckiego, ilość uczniów itp. Mimo to szkoła funkcjonowała, a jednym z jej uczniów był późniejszy oblat, superior klasztoru lublinieckiego i dyrektor Małego Seminarium

Krzysztof Kanclerz • CD. NA STR. 7

Duchownego OO. Oblatów bł. o. Józef Cebula. Jak można przeczytać we wspomnieniach o. Jerzego Jonienca OMI, że młody Józef służył niemal codziennie do Mszy św., którą sprawował ks. Rogowski. Zapewne były proboszcz z Jędryska widział w przyszłym obłacie wiarę, gorliwość i wzorem ks. Wątróbki chciał mu zwyczajnie pomóc. Poza tym obaj mieszkali w sąsiadujących z sobą domach, znajdujących się naprzeciwko dzisiejszego klasztoru.

Gimnazjum przetrwało zaledwie jeden semestr, od kwietnia do września 1920 roku, a jego założyciel wyjechał do Wągrowca w Wielkopolsce, w wyniku dwukrotnego ciężkiego

pobicia przez lublinieckich Niemców oraz szykan spadających na jego podopiecznych. W Wągrowcu został zatrudniony jako katecheta w gimnazjum. Zdążył jednak wziąć udział w plebiscycie górnośląskim w marcu 1921 roku, mimo pogarszającego się stanu zdrowia. Zmarł 26 stycznia 1922 w Wągrowcu i tam został pochowany. Jednak 11 maja 1924 przeniesiono jego prochy na cmentarz w Jędrysku. Uroczystość ta zgromadziła 5 tys. uczestników. O śmierci ks. Rogowskiego poinformował m.in. „Katolik”, zamieszczając jego krótki biogram.

Krzysztof Kanclerz

SYLWETKI I WSPOMNIENIA

Jan Fikus Senior

*18 WRZESIEŃ 1926, KRÓLEWSKA HUTA

+21 LISTOPAD 2003, LUBLINIEC

Kiedy przed laty pisałem w *Szkicach Lublinieckich* (t. 6 z 2004 r., s. 47–48) wspomnienie o przyjacielu nie myślałem, że tak szybko doczekam 90. rocznicy Jego urodzin. Trzydzieści lat minęło niczym mgnienie, a serce i pamięć wciąż przywołują obrazy sprzed lat – spotkania, dyskusje, wspólna praca z Janem Fikusem, którego w gronie redakcyjnym „Szkiców” nazywaliśmy Senioorem.

Przed kilku tygodniami wpadła mi w ręce rocznicowa pozycja EthosEnergy Poland S.A. Lata 1965–2015, pod redakcją Romualda Cichosa, Katarzyny Gajlewicz i Bożeny Kasperskiej-Paczek, wydana w Lublińcu i tu drukowana przez Sil-Veg-Druk. Odżyły wspomnienia, zdałem sobie sprawę, jak wiele się zmieniło przez te lata i ...jak wielki był udział w tych zmianach takich ludzi, jak Jan Fikus Senior, zatrudniony w tym zakładzie pracy u zarania jego działalności w Lublińcu, w roku 1965!

Dziś, wyróżniający się skromną artystyczną formą nagrobek śp. Jana Fikusa, pod wpływem swego ciężaru i warunków gruntowych lekko obniżył się i ginie w wielości innych na lublinieckim cmentarzu parafialnym. Tuż obok odnaleźć można grób innego zasłużonego lublińczanina, Michała Pawełczyka seniora, powstańca śląskiego i wieloletniego pracownika szpitala psychiatrycznego w Lublińcu; dziś miałby 114 lat, a odszedł na wieczną służbę mając lat 101.

Jan Fikus urodził się wprawdzie w Chorzowie (wtedy zwanym Królewską Hutą), ale już jako czterolatek stał się obywatelem naszego miasta, bowiem jego ojciec, również Jan, został tu skierowany do pracy jako policjant; w roku 1940 ojca zamordowało NKWD w ramach tzw. zbrodni katyńskiej, a 14-letni Jasio został półsierotą, w dodatku zamieszkującą w Wielkiej Rzeszy, do której włączono administracyjnie Lubliniec, nazwany potem nawet Loben. Cztery lata później, wcielony do armii, która już wtedy miała bardzo złą opinię, o mały włos nie skończyłby jak ojciec; potem niechętnie opowiadał, że cudem właściwie uratowany wrócił do domu.

Ukończył w Opolu szkołę handlową i został kupcem, tzn. pracował jako księgowy w Spółdzielni Stolarzy i Powszechnej Spółdzielni Spożywców. Ze wspomnianym wyżej zakładem, wtedy zwanym „Energoserwisem”, związany był zawodowo przez 16 lat, choć przez następne 20 lat wspierał swoich współpracowników i nie tylko prowadząc społeczną działalność w klubie emerytów i rencistów.

Choroba oczu była przyczyną przejścia na rentę, ale też pozwoliła mu na to, że zaangażował się w działalność Polskiego Związku Niewidomych i przez szereg lat prezesował oddziałowi tegoż w Lublińcu.

Zainteresowania zawodowe nie wypełniały treścią jego życia; przez wiele lat udzielał się także realizując swą wielką pasję – śpiew. Oblacka parafia św. Stanisława Kostki, obchodząca właśnie jubileusz 75-lecia swego istnienia, często gościła Jana Fikusa jako chórzystę i przyjaciela misji. Lubił także pisać i opowiadać, słynął ze swych trafnych, acz ciętych, wierszowanych kalamburów i ripost.

Swoje zamiłowania do dzielenia się historycznymi swymi odkryciami realizował w redakcjach „Nowin Lublinieckich” i „Szkiców Lublinieckich”; tu ukazało się wiele archiwalnych ciekawostek, do których dotarł w swych podróżach do Katowic, Tarnowskich Gór czy Wrocławia.

Dla mnie osobiście nieoceniona była jego pomoc w odkrywaniu tajemnic związanych z życiem rodziny Courantów i Steinów w Lublińcu. Jan Fikus od początku zaangażowany był w zakładanie i działalność w Lublińcu Towarzystwa im. Edyty Stein. Dzięki niemu mogliśmy rozpocząć pracę w Wydawnictwie Edyty Stein WEST i opublikować szereg materiałów ukazujących związki Świętej Patronki Europy i Lublińca z naszym miastem. Na szczególne polecenie zasługuje przewodnik „Spacerem po Lublińcu”, opracowany na jubileusz 725-lecia lublinieckiego grodu.

Do nieomal ostatnich chwil swego pracowitego życia szczególną troską było dla niego wydanie monografii historycznej Lublińca „Z dziejów miasta na Górnym Śląsku”.

Odszedł skromny człowiek, dla którego nagrodą było pomóc innym i zobaczyć uśmiech na twarzy stroskanych. Zawsze otwarty i chętny, szczerzy i uśmiechnięty, wspaniały i spolegliwy człowiek o bardzo rozległych zainteresowaniach i kochający miasto, w którym przyszło mu żyć. Wydaje się, że w pełni zasłużył nie tylko na miano „Lublińczanina Roku”, jakie otrzymał w 1999 roku, ale także na upamiętnienie w postaci nazwy ulicy bądź tablicy przypominającej przyszłym pokoleniom tę wspaniałą postać, tak rozmiłowana w lublinieckiej ziemi i jej przeszłości.

Sylwin H. Bechcicki
Prezes TES o/Lubliniec



Wilhelm Chrobok – żołnierz oddziałów specjalnych w III Powstaniu Śląskim

Przypadająca w tym roku 95. rocznica wybuchu III Powstania Śląskiego jest okazją do przypomnienia mało znanej postaci Wilhelma Chroboka, zasłużonego dla sprawy polskiej w okresie powstań śląskich i plebiscytu działacza politycznego, powstańca i społecznika związanego z Kochanowicami i Lublińcem.

„Polski ruch odrodzenia narodowego na Górnym Śląsku nie tylko na robotniku się oparł, ale i z robotnika wyszedł” – tak pisał w 1929 roku „Powstaniec Śląski” podkreślając zasługi tego środowiska dla przyłączenia naszego regionu, „wyzwolonej Ziemi Ojczyściej”, do Polski. Robotnikiem-górnikiem był również Wilhelm Chrobok, urodzony w 1899 roku w Szarlocińcu koło Świętochłowic. Już jako siedemnastolatek wstąpił do Polskiej Partii Socjalistycznej, gdzie podjął działalność organizacyjną. W 1917 roku udało mu się uniknąć poboru do armii niemieckiej. Gdy w następnym roku groziło mu przymusowe wcielenie, przeszedł do konspiracji i wstąpił do Polskiej Organizacji Wojskowej Górnego Śląska. Brał udział w 1919 roku w I Powstaniu Śląskim w okolicach Chropaczowa i Lipin koło Świętochłowic. Po powstaniu, zagrożony represjami, musiał, jak większość powstańców, ukrywać się, a następnie emigrować do Polski. Po powrocie wziął udział w 1920 roku w II Powstaniu Śląskim, gdzie w starciu z bojówkami niemieckimi doznał poważnych obrażeń. Po zakończeniu leczenia zakładał komórki Polskiej Organizacji Wojskowej i brał udział w przygotowaniach do kolejnego powstania.

Przygotowania te uzyskały pomoc władz polskich, które w ówczesnej sytuacji międzynarodowej nie mogły bezpośrednio zaangażować się w pomoc powstańcom, ale po cichu wspierały środowiska polskie. Pomoc polegała przede wszystkim na przysyłaniu doświadczonych oficerów, wspierających organizację zakonspirowanych oddziałów powstańczych. Na Górny Śląsk przybył m.in. kapitan Tadeusz Puszczynski z zadaniem utworzenia oddziałów specjalnego przeznaczenia. W krótkim czasie udało mu się, na przełomie 1920 i 1921 roku, w ramach Dowództwa Oddziałów Destrukcyjnych powołać Grupę Destrukcyjną „Wawelberg”. Jej nazwa pochodziła od nazwiska, jakiego Puszczynski używał po przybyciu na Górny Śląsk. Swoją kwaterę ulokował Strzelcach Opolskich (wówczas Wielkich Strzelcach), gdzie występował jako handlarz drzewem Konrad Wawelberg. Koncepcja strategiczna, którą opracował Puszczynski, zakładała odcięcie połączeń komunikacyjnych pomiędzy Dolnym a Górnym Śląskiem. Miało to uniemożliwić Niemcom ściągnięcie posiłków oraz dać czas powstańcom na opanowanie kluczowych miast, głównie na Śląsku Opolskim. Jako że transport wojskowy oparty był wówczas na kolei żelaznej, głównym celem ataku były mosty i węzły kolejowe. Członkowie tworzonych grup dywersyjnych rekrutowano przede wszystkim z najbardziej doświadczonych organizatorów Polskiej Organizacji



Wilhelm Chrobok z orderem *Virtuti Militari*.

Wojskowej. Nie bez znaczenia była również przynależność Puszczynskiego do Polskiej Partii Socjalistycznej. Ułatwiło mu to kontakty z członkami tej partii na Górnym Śląsku oraz zrozumienie i znalezienie wspólnego języka ze środowiskiem robotniczym. Poszukiwano zwłaszcza górników obeznanych z używaniem materiałów wybuchowych. Wszystkie te kryteria spełniał Wilhelm Chrobok. Swoją przydział bojowy otrzymał on 15 grudnia 1920 roku. Następnie przeszedł trzytygodniowe intensywne szkolenie w specjalnym ośrodku ulokowanym po polskiej stronie granicy, niedaleko Sosnowca. Od żołnierzy wymagano doskonałego przygotowania fizycznego, zwłaszcza wytrzymania kilkunastokilometrowych marszy, gdyż cele ataku znajdowały się daleko,

a dotrzeć do nich i powrócić można było tylko w taki sposób. Ćwiczone znajomość walki wręcz i obchodzenia się z bronią różnego typu. Najważniejszym punktem szkolenia była umiejętność konstruowania min. Każdy z „wawelberczyków” musiał umieć skonstruować minę z różnymi typami zapalników oraz podłożyć ją i bezpiecznie odpalić.

Jeszcze przed wybuchem III Powstania przeszkolonych bojowców wykorzystywano do ochrony polskich wieców, jakie miały miejsce na początku 1921 roku, przed plebiscytem. Wilhelm Chrobok brał także udział w podpaleniu baraków mieszkalnych przeznaczonych dla niemieckich emigrantów ściganych dla głosowania w plebiscyście.

Jednak jego najważniejszym dokonaniem był udział w operacji o kryptonimie „Mosty”, przeprowadzonej w nocy z 2 na 3 maja 1921 roku. Wilhelm Chrobok wyznaczony został, wraz z pięciosobowym oddziałem, do wysadzenia mostu kolejowego pomiędzy stacjami Poppelau (dziś Popielów) i Karlsmarkt (dziś Karłowice). Znajdował się on na strategicznej linii kolejowej łączącej Opole z Wrocławiem. Akcja udała się, a dowodzący nią podchorąży Stanisław Pelc napisał później w raporcie: „Chrobok Wilhelm w czasie marszu od tajnych magazynów do mostu i w czasie minowania mostu zachowywał się wzorowo pod każdym względem. Z całą gorliwością pomagał przy minowaniu mostu, przytomnie spełniając wszystkie rozkazy, okazując zupełną obojętność na możliwe niebezpieczeństwo”. W trakcie powrotu – dwudniowego marszu, „wawelberczykowi” udało się również rozbić oddział niemiecki, który ich zaatakował. W całej akcji „Mosty” zniszczono 7 przepraw, 2 odcinki torów oraz słupy telefoniczne i telegraficzne. Unieruchomiono w ten sposób 9 linii kolejowych, a przy okazji wysadzono dwa pociągi. Zaskoczenie dowództwa niemieckiego było ogromne. Szybkie przerzucenie wojsk okazało się niemożliwe. Za udzielenie informacji o dywersantach wyznaczono 10 tys. marek nagrody.

Przeszkolonych powstańców po zakończeniu operacji podzielono na 3 grupy, które wysłano na różne odcinki frontów, gdzie



Odnazka pamiątkowa Grupy Wawelberg, [Wikimedia Commons](#).

Sebastian Ziółtek • CD. NA STR. 9

zajmowali się niszczeniem infrastruktury po stronie niemieckiej i opóźnianiem marszu wojsk nieprzyjacielskich. Wilhelm Chrobok trafił do podgrupy destrukcyjnej „Północ”. Ogółem, od 2 maja do 5 lipca 1921 roku, „wawelberczycy” zniszczyli około 50 mostów, 3 dworce kolejowe oraz inne cele, w tym przemysłowe.

Wilhelm Chrobok za swoją ofiarną służbę otrzymał szereg odznaczeń państwowych. Najważniejszym z nich był Krzyż Srebrny (V klasy) Orderu *Virtuti Militari*. W ten sposób znalazł się w elitarnym gronie zaledwie 95 powstańców śląskich, którym wręczono różne klasy tego orderu. Odznaczył go sam marszałek Józef Piłsudski w 1922 roku. Ponadto Wilhelma Chroboka uhonorowano Medalem za wojnę 1918–1921 roku, Krzyżem Niepodległości, Gwiazdą Górnośląską oraz Krzyżem na Śląskiej Wstędze Waleczności i Zasługi klasy I.

W II Rzeczypospolitej Wilhelm Chrobok został funkcjonariuszem Policji, a następnie Straży Celnej. Do 1927 roku służył na posterunku granicznym w Rudzie Śląskiej. Na przełomie 1927 i 1928 roku przeprowadził się do Kochanowic. W 1928 roku wybrany został sekretarzem Zarządu Powiatowego Związku Powstańców Śląskich na powiat lubliniecki, którą to funkcję sprawował do 1937 roku. Był również działaczem Narodowo-Chrześcijańskiego Zjednoczenia Pracy w powiecie lublinieckim. Zatrudnienie zapewnił mu Paweł



Wilhelm Chrobok w mundurze Związku Powstańców Śląskich z orderami.

Golaś, organizator powstań śląskich w powiecie lublinieckim oraz prezes Zarządu Powiatowego Związku Powstańców Śląskich. Na stanowisku księgowego w hurtowni wyrobów tytoniowych, którą Golaś prowadził w Lublińcu, Wilhelm Chrobok pracował do 1937 roku, tj. do czasu jej likwidacji.

Przed wybuchem II wojny światowej Wilhelm Chrobok zorganizował ochotnicze oddziały złożone z byłych powstańców śląskich, patrolujące granicę polsko-niemiecką. Po zajęciu ziemi lublinieckiej przez hitlerowców ukrywał się zagrożony aresztowaniem, jako osoba szczególnie wroga dla okupanta. Po denuncjacji w październiku 1939 roku, był więziony w Lublińcu, a następnie wywieziono go do obozu koncentracyjnego w Dachau, gdzie zginął w 1941 roku.

Ustalenie szczegółowej biografii Wilhelma Chroboka zawdzięczamy jego potomkom, mieszkańcom Kochanowic, którzy podjęli badania archiwalne – przede wszystkim

w Centralnym Archiwum Wojskowym w Warszawie oraz w innych instytucjach. Wykorzystując przekazy rodzinne, literaturę oraz dokumenty archiwalne odtworzyli życiorys swojego zasłużonego przodka.

Autor dziękuje pani Ewelinie Krawczyk-Ledwoń za przekazanie zgromadzonych materiałów, które posłużyły do napisania niniejszego artykułu.

Sebastian Ziótek

Opowieści boronowskie

W lesie, w pobliżu Zumpów, wydobywano w XVII wieku kruszce srebrno-ołowiowe. O dawnym występowaniu srebra na tym terenie wspomina rozporządzenie tarnogórskiego Urzędu Górniczego z 1645 roku, a także opis królewsko-pruskiego radcy hutniczego E.L. Abta z 1791 roku.

Zachował się też stary przekaz ludowy głoszący, że w tym samym miejscu, to jest nad małym strumyczkiem Ryzia, kopano dawniej również złoto. Jeszcze na początku minionego wieku w powszechnym użyciu była poprzednia nazwa tego strumyczka – Złota Struga lub Złota. Nazwa ta widniała również na starych mapach dawnego Nadleśnictwa Boronów.

W połowie XVII wieku właścicielem okolic Boronowa był hrabia Aleksander Ernest Dzierżanowski. Miał on również rozległy majątek na Morawach, a Boronów odwiedzał tylko sporadycznie.

Pewnego razu goszcząc w Boronowie, hrabia udał się z rodziną na nabożeństwo do kościoła. W drodze wydarzył się tragiczny wypadek. Oto jedna z hrabiowskich córeczek potoczyła się na drewnianej kładce pomostu, prowadzącego przez przykościelny staw, wpadła do wody i utonąła.

Jej wydobyte ciało zrozpaczeni rodzice zanieśli do kościoła. Tam położyli je pod krzyżem i wspólnie z zebraniem ludem zaczęli odmawiać różaniec za duszę tragicznie zmarłego dziecka. Zapis w starej kronice kościelnej z roku 1651 podaje, że wówczas na oczach zdumionych rodziców i wiernych dziewczynka została cudownie wskrzeszona. Kronika stwierdza również, że od tego wydarzenia Dzierżanowscy już nigdy nie odwiedzili Boronowa.

Wieść o wskrzeszeniu hrabianki szybko rozeszła się po całej

okolicy. Od tego czasu krucyfiksowi zaczęto przypisywać cudowne właściwości. Krzyż ten nadal wisi nad żelazną kratą w boronowskim kościele i wciąż parafianie wyprasają pod nim różne łaski i pociechy w trudnych chwilach.

W dawnych czasach, a szczególnie w XVII i XVIII wieku, tutejszy region nawiedzały często różne klęski żywiołowe, wojny i zarazy. Na skutek długotrwałych nieurodzajów szerzył się głód, a choroby zakaźne powodowały wielką śmiertelność wśród ludności. Zdarzało się czasem, że wymierały czasem całe wioski. W roku 1607 wymarło w Lublińcu trzy czwarte ludności, a w czasie wojny 30-letniej zaraza zabiła prawie wszystkich mieszkańców Ligoty Woźnickiej. Również w roku 1708 na dżumę wymarła prawie cała ludność Olszyny.

Nieszczęścia te nie omijały także Boronowa. W roku 1702 szalała w jego okolicy ospa, zbierając tragiczne żniwo, a w latach 1736–37 klęska nieurodzaju i głodu. Na skutek wielomiesięcznych, nieustannych deszczów i powodzi wyginęły na polach wszystkie uprawy i zapanował wielki głód.

Do naszych czasów przetrwał w miejscowej tradycji przekaz ustny, wspominający o tym, jak to w tamtych tragicznych latach ludność zmuszona była się odżywiać perzem, lebiodą i innymi chwastami, bo tylko te można było znaleźć na zalanych polach. Tylko w ciągu roku 1737 zmarło z powodu głodu i tyfusu 179 mieszkańców Boronowa, w tym 64 dzieci. To wtedy rozwinął się na naszym terenie wielki kult św. Jana Nepomucena, orędownika chroniącego przed powodzią. W parafii boronowskiej wzniesiono wtedy cztery kapliczki jemu poświęcone. Dwie z nich zachowały się do dziś.

Damian Gołąbek • CD. NA STR. 10

W XVIII wieku, w lasach koło Dębowej Góry i Szklanej Huty, przebywali pustelnicy. Tam, w osamotnieniu, z dala od ludzi czas spędzali na modlitwie, poście i pokucie. Pierwszy z nich ok. 1740 roku zbudował na skraju Rajchowej Góry kapliczkę-pustelnię. W następnych dziesięcioleciach przebywali tam kolejni pustelnicy. Było ich prawdopodobnie pięć iu. Ostatni zmarł w 1824 roku. Stara pustelnia przetrwała do początku XX wieku. Podanie ludowe głosi, że stojącą do dziś na skraju Dębowej Góry kapliczkę św. Jana Nepomucena zbudował jeden z tych pustelników. Na jej jednej belce jest wyryty rok 1760. Kapliczka została więc wzniesiona kilkanaście lat przed założeniem tej wsi – kolonii pruskiej. W starej kronice kościelnej zanotowano, że pustelnik Ambroży odbył w latach 1750–51 pieszą pielgrzymkę pokutną do Rzymu i że przyniósł stamtąd dla boronowskiego kościoła relikwię krzyża świętego. W archiwum parafialnym zachował się też pisemny akt przekazania tej relikwii.

Od najdawniejszych czasów okolice Boronowa były silnie zalosowane. Te puszczańskie ostępy w dolinie Liswarty były ostoją licznej zwierzyny. W starym dokumencie księcia krakowsko – sandomierskiego, Bolesława Wstydlwego z roku 1270 zachował się zapis, w którym ów władca wspomina między innymi o swoich terenach łowieckich sięgających do miejsca „... nazywanego przez lud Borunowska Stza...”. Przed wiekami żyły w tej okolicy również niedźwiedzie i wilki. Ostatniego niedźwiedzia upolowano koło Boronowa w roku 1756, a watahy wilków były plagą dla okolicznej ludności jeszcze w pierwszej połowie XIX wieku. Ostatniego wilka zastrzelił książę Fryd. Wilhelm Hohenlohe koło Dębowej Góry w roku 1876. Do dziś dwa uroczyska leśne nazywane są Wilczarniami.

Od końca XVIII wieku, aż do pierwszej wojny światowej, w książęcym lesie w rejonie Cielca i Lipowca znajdował się zwierzyniec, w którym hodowano daniela. W niektórych okresach ich pogłowie dochodziło do 140 sztuk. Drugi olbrzymi zwierzyniec, nazywany chlewnią, znajdował się między Dębową Górą i Boronowem. Był ogrodzony. Zamknięto w nim wszystkie dziki z całego rejonu dóbr książęcych, a część również dokupiono. W 1914 r. stan pogłowia dochodził do 800 sztuk. Tam je dokarmiano, selekcyjonowano i odstrzeliwano. W latach I wojny światowej, na skutek nasilających się w Niemczech trudności aprowizacyjnych, majątek koszęciński musiał odstawić coraz większą ilość produktów żywnościowych, w tym dziczyzny. W ostatnim roku wojny zwierzyniec zlikwidowano.

Z historią tego zwierzynca związane były liczne opowiadki o Macku. Wspominali je do niedawna starsi mieszkańcy Dębowej Góry. Maciek był jednym z dzików-odyńców, który słynął z wielkiej żarłoczności. Często podchodził do pracujących w lesie drwali i wymuszał od nich kawałki chleba i inne łakocie. Dużo uciechy dostarczał Maciek również dzieciom. Obłaskawiony przez nich marchwią lub żołądziami pozwalał się nawet głaskać i znosił ich figle. Mimo swego natręctwa Maciek był ulubieńcem okolicznych mieszkańców, a nawet myśliwych, którzy oszczędzali go w czasie polowań. Zastrzelony został przypadkowo w 1917 roku.

Hrabia Karol Henryk II Sobek był właścicielem rozległych dóbr w okolicach Koszęcina, Boronowa, Hadry, Droniowic, Kochanowic, Lisowa i dalekiej Klekotnej. Prowadził bardzo wystawne życie. W koszęcińskim pałacu utrzymywał teatr, do którego sprowadzał aktorów z Wrocławia i Berlina. Trwonił majątek na zagranicznych eskapadach. Prowadził rozwiązły tryb życia.

W latach 80-tych XVIII w. doprowadził swój majątek do ruiny i popadł w długi. Jego dobra zostały zlicytowane.

Hrabia-bankrut, unikając swoich wierzycieli, zaszył się na pewien czas w lasach boronowskich. Schował się w domku myśliwskim koło Zumpów. Mawiano w okolicy, że schował się jak pies w budzie i od tego czasu ten pałacyk nazywano „Grofską Budą” lub „Hrabską Budą”. Tam służbie leśnej kazał sobie sprowadzać młode dziewczyny. Gdy jakaś zaszła w ciążę, na polecenie księcia żenił się z nią któryś z gajowych lub parobków. Przymusowa kochanica otrzymywała od hrabiego swego rodzaju wiano: krowę.

Ten, zagubiony wśród lasów domek myśliwski okazał się później jeszcze raz przydatny innemu panu na Koszęcinie. Książę Fryderyk Wilhelm Hohenlohe (1873–1895) był generałem pruskim. Odznaczał się bezwzględnością wobec podwładnych. Nie rozstawał się ze swoją „spisrutą” i często robił z niej użytek. Nie stronił od biesiadnego i „wesołego” towarzystwa, niekoniecznie męskiego. Miejscem częstych, uciésznych schadzek stała się za jego czasów również sędziwa już „Grofsko Buda”.

Dzień 28 września 1897 r. był tragiczny dla wielu boronowskich rodzin. Gdy większość mieszkańców zajęta była wykopkami na polu, we wsi wybuchł groźny pożar. Zapłonęły chałupy na gęsto zabudowanym Piasku. Na skutek silnego wiatru ogień przenosił się błyskawicznie z budynku na budynek i wszelkie próby ratowania dobytku nie były możliwe. W ciągu trzech godzin pożar strawił 22 chałupy z zabudowaniami gospodarczymi przy obecnej ulicy Powstańców Śląskich. Wobec szalejącego żywiołu mieszkańcy byli bezradni, bo straży pożarnej jeszcze wtedy we wsi nie było. Ochotnicza Straż Pożarna została założona dopiero w 1907 r.

Na skraju lasu, przy drodze z Boronowa do Koszęcina, stoi charakterystyczny pomnik z piaskowca w kształcie dębowego pnia. Jest z nim związana ciekawa historia. W październiku 1834 r., po zakończonym polowaniu w pobliżu Zumpów, brać myśliwska zebrała się przy „Grofskiej Budzie”. Gdy po sutym poczęstunku towarzystwo zaczęło się rozjeżdżać do domów, dwóch pełnych animuszu leśników poczyniło w Olszynie zakład, który z nich na swoim wierzchołku wcześniej dotrzedł do Koszęcina. Jeden z nich, to jest Fryderyk Wilhelm Prieur, zarządca książęcych lasów, miał udać się drogą przez Boronów, a drugi przez Hadrę. Za Boronowem Prieur spadł z konia, jedną nogą ugrzązł w strzemieniu i galopujący koń włókł nieszczęśnika po ziemi. W miejscu odnalezienia zwłok książę Adolf Hohenlohe polecił postawić zachowany do dziś pomnik, do którego początkowo była również przyczepiona tablica pamiątkowa.

Do zachodnich rubieży Boronowa przylega teren wyżynny, nazywany Króliczą Górką. Skąd taka jego nazwa? W połowie XIX w. zaczęły się w tej okolicy masowo pojawiać dzikie króliki. Na skutek tego, że znacznie wytępiono wtedy zwierzęta drapieżne, głównie wilki, ilość królików zaczęła się z roku na rok gwałtownie powiększać. Od przełomu XIX i XX w. stały się one już plagą, a wyrządzane przez nie szkody stawały się katastrofalne. Ogołacały one runo leśne, przekopywały oraz niszczyły łąki przyłesne i uprawy polne. Zaczęto więc te utracone szkodniki tępić różnymi sposobami. Silnie upowszechniło się kłusownictwo. Urządzano na nie nieustanne polowania, zwalczano je za pomocą trutek i wnyków. W latach 1911–15 upolowano ich każdego roku po kilka tysięcy sztuk. Na szczęście, zwierzęcych natrętów zdzięsiatkowała zima stulecia 1928/29. Ostatnie sztuki królików widywano jeszcze podczas II wojny światowej i w pierwszych latach powojennych w rejonie obecnej Króliczej Górki.

Damian Gołąbek

180-lecie murowanej szkoły w Kochanowicach (II)

We wrześniu 1939 r. Niemcy zajęli Kochanowice. Nauka w szkole praktycznie odbywała się bez widocznej przerwy. Tak jak i wcześniej, szkoła była siedmioklasowa z łączonymi klasami w jednej sali. Czas nauki również nie uległ zmianie, lekcje trwały od godziny ósmej do trzynastej-czternastej.

W czasie okupacji na religię uczęszczały między innymi dzieci z Lubocek oraz Kochcic. Nauczanie prowadzono wtedy też na poddaszu szkoły. Niemcy wprowadzili do szkoły swoich nauczycieli i uruchomili nauczanie zgodnie z dawniej obowiązującym programem i przepisami. Podczas okupacji kierownikiem szkoły w Kochanowicach był pan Riechter będący zarazem osobą zarządzającą Kochanowicami. Kadre nauczycielską stanowiło trzech nauczycieli: Kwitek, Mendel i Joško. Kierownik szkoły Riechter nie tolerował używania przez uczniów języka polskiego. Używanie ojczystego języka kończyło się często dla uczniów dotkliwą karą cielesną. Pozostali nauczyciele na szczęście byli bardziej łagodni.

Niemcy zaopatrzyli budynek szkolny w nowe obowiązujące niemieckie podręczniki, zielone ławki z otworem na kałamarz, łączone z siedzeniem oraz zawieszono nowe tablice (rozwierane na boki). Już w pierwszych klasach rozpoczynano na tabliczkach naukę pisowni w języku niemieckim. W późniejszych klasach uczniowie pisali w zeszytach.

Po wojnie wielu nauczycieli nie powróciło i dało się odczuć częste zmiany w kadrze nauczycielskiej. Kierownik mieszkał na piętrze szkoły, w pokojach umeblowanych pięknymi mahoniowymi meblami i czarnym pianinem. Niestety, podczas wycofywania się Niemców praktycznie wszystkie meble zaginęły. Przepadło również mienie wszystkich nauczycieli. Natomiast po przejściu armii wyzwoleniczej budynek szkolny został poważnie zniszczony.

Szkołę w Kochanowicach uruchomiono w lutym 1945 r. Rokrocznie rozpoczęcie oraz zakończenie roku szkolnego odbywało się od odprawienia Mszy św. w miejscowym kościele. Założeniem biblioteki szkolnej w Kochanowicach w latach 1945–1946 zajął się nauczyciel ówczesnej szkoły, późniejszy wieloletni zastępca kierownika szkoły, Aleksander Badora. Pierwsze książki zgromadzone w zbiorach biblioteki pochodziły z księgozbiorów prywatnych A. Badory oraz od innych nauczycieli, jak i mieszkańców Kochanowic.

Lata powojenne tak wspomina uczennica kochanowickiej szkoły z lat 1949–1954: „Do szkoły w Kochanowicach zaczęłam uczęszczać w kwietniu 1949 roku. To bardzo istotne, bo nauczyciele musieli uczyć mówić po polsku, ponieważ znaczna ilość dzieci znała tylko niemiecki. Mimo upływu lat, pamiętam doskonale pierwszy dzień w kochanowickiej szkole. Ojciec zostawił mnie pod opieką pani Janiny Dzieniewicz.



Aleksander Badora w otoczeniu swoich wychowanków przed budynkiem szkoły w Kochanowicach – lata 60-te.

Aleksander Badora, pan Henryk Klepacz – wieloletni dyrektor szkoły, miłośnik sportu. Bardzo sympatycznie wspominał również panią Flakową – naszą wychowawczynię, osobą pełną łagodności i dobroci. Budynek szkoły jest ten sam, ale jego wnętrze bardzo się zmieniło. Kiedyś połowę szkoły zajmowały mieszkania dla nauczycieli i przedszkole. Sale lekcyjne miały drewniane podłogi. Ławki lekcyjne miały otwory na kałamarze a w każdej sali znajdowały się wieszaki na ubrania. Była tylko jedna woźna i sprzątaczką w jednej osobie – pani Berbeszowa, która sprzątała szkołę i paliła w piecach.

Z chwilą powstania Zbiorczej Szkoły Gminnej w Kochanowicach, w 1974 r., większość nauczycieli z Lubocek przeniesiono do nowej placówki. Gminnym dyrektorem był wtedy mgr Remigiusz Chruściński, jego zastępcami ds. wychowawczych mgr Jan Kotek, a ds. szkoły Henryk Klepacz – dotychczasowy wieloletni dyrektor szkoły w Kochanowicach. Uczniów z Lubocek i Ostrowa dowożono do Kochanowic autobusami PKS-u. Oprócz nich dowożono również dzieci z Jawornicy. Szkoła w Kochanowicach nie była przygotowana na przyjęcie tak dużej ilości dzieci. Panowała ciasnota, brak było sali gimnastycznej, doskwierała mała ilość sal lekcyjnych. Klasy liczyły ponad trzydzieści uczniów. Jedno skrzydło w budynku przeznaczone było dla dyrektora Klepacza. Okna w szkole pamiętały czasy przedwojenne. Częste awarie pieca c.o. niedrożna instalacja kanalizacyjna powodowała ciągłe zalewanie wodą bądź ściekami piwnic, w których znajdowały się szatnie, kotłownia, a nawet sale lekcyjne”.

Zmiany w systemie oświaty, wprowadzone w 1999 r., wpłynęły zasadniczo na przekształcenia dokonane w szkole w Kochanowicach, gdzie z dniem 1 września tegoż roku, utworzono Gimnazjum, wchodzące wraz z Publiczną Szkołą Podstawową im. Karola Miarki, w skład Zespołu Szkół. W skład Zespołu Szkół w Kochanowicach wchodzi, oprócz szkoły podstawowej i gimnazjum, o których mowa wyżej, szkoły podstawowe filialne w miejscowościach: Lubockie, Droniowice i Harbułtowice. Organem prowadzącym Zespół Szkół jest Gmina Kochanowice.

Mariusz Żymierski

Leśna kaplica hrabiego Ballestrema

Hrabia Ludwik Karol von Ballestrem znany był nie tylko jako budowniczy kochcickiego pałacu, ale również jako gorliwy katolik oraz miłośnik przyrody. Wszystkie te cechy połączył w jedno w 1933 roku, kiedy to w 75. obrębie swoich obszernych lasów wybudował świerkową kaplicę pod wezwaniem świętego Huberta – patrona leśników. Architekturą nawiązywała ona do zanikających cech budownictwa ludowego: wyróżniała się prostotą, surowością i wykorzystaniem naturalnych form (np. konstrukcją z okrągłaków o nierównych długościach; słomianym, zrębowym dachem opartym na okorowanych, sękatych pniach). Niewielkich rozmiarów budowla, oriento-



wana, na planie prostokąta z trójbocznym zamknięciem i zakrystią z boku, posiadała też belkę tęczową z Grupą Ukrzyżowania, chór muzyczny wsparty na okorowanym słupie, balaski z surowego drzewa brzozonego. Świątynia stanęła w niewielkiej odległości od istniejącego już dworku *Jagdhaus Mittenwald*, nad stawem Nowa Brzoza.

O poświęcenie poproszony został proboszcz parafii Boronów ks. Robert Adamek, wtenczas lubliniecki dziekan. Jak wynika z korespondencji między hrabią a dziekanem, kilkakrotnie przekładano wizytację na zakończenie budowy. Powodem było niedotrzymanie terminu dokończenia ołtarza z wizerunkiem św. Huberta. Ostatecznie wizytacja przed poświęceniem odbyła się 22 czerwca, a hrabia po księdza dziekana posłał własny samochód. Datę poświęcenia ustalono na 5 lipca 1933 roku.

Dekret erekcyjny biskupa Stanisława Adamskiego z 4 lipca informował, że kaplica będzie miała charakter półpubliczny. Udzielono zezwolenia na odprawianie nabożeństw ojcom Oblatom z Lublińca. Z dalszej zachowanej korespondencji można dowiedzieć się, że Kuria Diecezjalna wystąpiła z wnioskiem do Stolicy Apostolskiej o pozwoleń na przechowywanie Najświętszego Sakramentu w kapliczce i zezwoliła ks. proboszczowi Kurpasowi z Kochanowic poświęcić dzwon dla kapliczki. Hrabia Ballestrem zapewnił Kurię, że śpiew podczas nabożeństw oraz kazania będą tylko w języku polskim. W innym liście Ludwik Karol wyrażał nadzieję, że kaplica da łaskę Bożą jego urzędnikom i robotnikom leśnym oraz ich rodzinom, a także będzie dla nich błogosławieństwem po wszystkie czasy.

Ballestrem tak bardzo pokochał swoją leśną rezydencję, że zapragnął tam również spocząć po śmierci. Na jego zlecenie, za ołtarzem kościółka, lubliniecka firma budowlana Juliusza Lemaitre wykuwała kryptę grobową (prawdopodobnie wybudowała też i samą świątynię). Pamiątką po grobowcu jest jesionowa płyta z napisem (po łacinie) informującym, że *tu spoczywa fundator tego*

kościółka, Ludwik Karol von Ballestrem urodzony 5.10.1875 we Wrocławiu, zmarły w podeszłym wieku, przyjaciel każdego. Kilka lat temu płyta ta zawisła nad kominkiem kochcickiego pałacu.

Wojna i ewakuacja w 1945 roku na zawsze uniemożliwiły pragnienie hrabiego. Ludwik Karol zmarł 5 marca 1957 roku we Freiburgu (Niemcy). Został pochowany na wybranym wcześniej przez siebie cmentarzu w Köfering koło Ratyzbony. Na skromnej płycie nagrobnej wyryto zgodnie z jego życzeniem napis: „Przyjaciel Cichego Lasu”.

Pozostawiona w lesie, bez opieki, kaplica była narażona na dewastację. W nieznanymi okolicznościami zaginął obraz patrona z głównego ołtarza. Informacja o śmierci hrabiego, wiosną 1957 roku, stała się impulsem dla mieszkańców Pawelek, by ocalić obiekt. Do jesieni przenieśli kolejno oznakowane belki na przygotowaną wcześniej podmurówkę w centrum wsi, obok szkoły, po czym roboty ustały i przez zimę kaplica stała bez dachu. W 1958 roku, po usankcjonowaniu samowoli oraz opłaceniu kary w wysokości 6 tys. zł na rzecz Nadleśnictwa Czarny Las, dach pokryto dachówką.

Kaplicę ponownie poświęcono w lipcu 1958 roku. Za namową ks. Myrcika z Kochanowic otrzymała nowe wezwanie: Matki Boskiej Fatimskiej. Poza zaginionym obrazem reszta wyposażenia świątyni pozostała bez zmian.

Pięć lat wcześniej zabrano z lasu również myśliwski dworek hrabiego, który trafił do Wojewódzkiego Parku Kultury i Wypoczynku w Chorzowie.

Od 2006 roku dzieła hrabiego Ballestrema na Śródle-siu przypomina postawiona tam kapliczka – miniaturo-wa kopia kościoła i tablica informacyjna.

Patrząc, jak do dziś kaplica służy mieszkańcom i turystom odwiedzającym okoliczne lasy, pokusić się można o podsumowanie, że hrabia Ballestrem dotrzymał słowa danego przed laty...

Marzena Koza

Wieczorek franciszkański z Ojcem Świętym Franciszkiem

Chociaż święty Franciszek z Asyżu żył w XII wieku, cieszy się wciąż powszechnym szacunkiem, sympatią i miłością nie tylko wśród katolików, ale także ze strony chrześcijan innych wyznań, a nawet niechrześcijan.

Bez niego w dzisiejszym świecie byłoby mniej miłości, wiary i nadziei pokładanej w miłosierdziu Stwórcy. W 1980 roku ówczesny papież – św. Jan Paweł II – ogłosił św. Franciszka patronem ekologów i ekologii, jest on jednak przede wszystkim opiekunem franciszkanów, kapucynów, klarysek, kapucynek, bernardynek, albertynów, albertynek i tercjarzy franciszkańskich, jest protektorem pokoju i ubogich, „braci mniejszych”. 13 marca 2013 roku św. Franciszek stał się patronem kardynała Jorge Maria Bergoglio, który jako pierwszy w historii przyjął po wyborze na papieża imię Franciszek.

Ten Wielki Święty zainspirował również Wspólnotę Franciszkańskiego Zakonu Świeckich w Kochanowicach, głównie panią Gertrudę Pykę z Ostrowa i Elżbietę Puchalską z Kochanowic, do zorganizowania wyjątkowego spotkania dla wspólnot regionu lubliniecko-tarnogórskiego z okazji Jubileuszowego Roku Miłosierdzia Bożego ogłoszonego przez Ojca Świętego Franciszka 8 grudnia 2015 r. Ta niepowszednia uroczystość odbyła się 23 stycznia 2016 r. w sołectwie Lubockie – Ostrow, gdyż właśnie tam znajduje się Kaplica pw. Miłosierdzia Bożego wybudowana wspólnymi siłami przez mieszkańców obu wsi, poświęcona 25 października 1990 r. i akurat kilka miesięcy temu obchodzono jubileusz 25-lecia jej poświęcenia.

Zgromadzeni w świątyni w Lubockiem–Ostrowie tercjarze wspólną modlitwę rozpoczęli o godzinie piętnastej Koronką do Miłosierdzia Bożego oraz nabożeństwem z błogosławieństwem eucharystycznym. Następnie Asystent Regionu – o. Rufin Juraszek i miejscowy ks. proboszcz – Krystian Gajek odprawili uroczystą Mszę świętą w intencji członków FZŚ. W homilii o. Rufin podkreślał znaczenie Miłosierdzia Bożego dla obecnego świata, dla każdego grzesznika. *Jest ono nieskończone, to najwyższy i ostateczny akt, w którym Bóg wychodzi na spotkanie istocie ludzkiej, to pewność, że Bóg się zmiłuje i przygaranie z powrotem, nawet jeśli przekroczone zostały jego przykazania.* Wspólną modlitwę zamknęło dziękczynne „Te Deum”.

Po Mszy świętej uczestnicy spotkania zasiedli przy stole braterskim w położonym nieopodal „Domu Spotkań”. Tutaj nie zabrakło uciech dla duszy i ciała, ponieważ pomiędzy występy muzyczno-słowne wpleciono serwowanie regionalnej potrawy – cipakapusty z żeberkami i tradycyjnego kołocza śląskiego z piekarni Ireneusza Prandziocha, z rozgrzewającą w ten chłodny zimowy dzień kawą i herbatą. Wszelkie smakowitości przygotowały wolontariuszki: p. Helenka w roli szefowej i p. Rutka, p. Natalia, p. Gienia, p. Aneta jako pomocnice, a podały młode ochotniczki: Marzena, Ola, Monika i Jola.

Swoją obecnością tercjarzy zaszczylicili także: Przełożony Rady Regionu FZŚ – Marian Kandzia z małżonką, nowo wybrany poseł ziemi lublinieckiej z Kochanowic – Andrzej Gawron, publicysta z Lublińca – Edward Przebieracz oraz władze samorządowe w osobach pani sołtys – Róży Grzechac i Andrzeja Domagały.

Drugą część spotkania poprowadziła Małgorzata Derkowska – dyrektor Gminnego Centrum Kultury i Informacji w Kochanowicach. Tuż po przemowach gości wystąpiła miejscowa i lubliniecka młodzież wraz z dziećmi, prezentując montaż słowno-muzyczny przygotowany przez nauczycielkę Gimnazjum

nr 1 w Lublińcu – Ewę Prandzioch i poetkę z Kochanowic – Marię Dziuk. Występ przypominał znów, że Święty Franciszek jest idealnym wzorem na dzisiejsze czasy, gdyż wciąż może nas uczyć, że w życiu należy stawiać sobie wysoko poprzeczki, z odwagą podejmować nieszablonowe decyzje i z zaangażowaniem dążyć do wyznaczonego celu. Wiersze, wierszyki i piosenki stworzyły misterium radości, prawdziwej miłosnej szczęśliwości, tak właśnie jak to wynika z dzieła Świętego, który inspirował artystów i nadal budzi do twórczości. Na mini scenie pojawiły się przeurocze ukochane ptaszki świętego Franciszka: skowronek – Ania Włodarz, wróbelek – Milena Barwicka, słowik – Agnieszka Brewka, gołąbek – Kamil Włodarz i pliszka – Wiktoria Mnich. Wybrzmiały strofy o pochodzie świętego, o szacunku do natury, o pożądaniu ciszy w zgiełku współczesnego świata, o wielkich dokonaniach biedaczyny asyjskiej, o potrzebach cywilizacji XXI wieku, utwory te deklamowały – Julia Prandzioch, Nikola Paclawska, Marta Rura, Paulina Kubica, Patrycja Gołek i Małgosia Zbączyński. „Pełni” stało się zadość, gdy odegrano współczesne melodie, do których zaśpiewały Julia Kazuch i Zuzanna Pradela oraz Małgosia Zbączyński, m.in. dzwyczyny wykonały tegoroczny hymn Świątynnych Dni Młodzieży „Błogosławieni miłosierni” i tym samym w podniosły sposób zamknęły kolejny punkt programu. Nad jakością dźwięku gorliwie czuwał niestrudzony ministrant w miejscowej świątyni – Piotr Galuska.

Ponadto swoje artystyczne dokonania przedstawiły poszczególne wspólnoty FZŚ, nawiązały one do wspaniałych rocznic i uroczystości, które mają się zdarzyć niebawem. Szczególnie zaprezentowała się wspólnota z Dobrodzienia, której siostra przełożona opowiedziała historię tegoż zgromadzenia i przedstawiła wyjątkową kronikę upamiętniającą wspólne przeżycia członków FZŚ. Kronika ta może być źródłem motywacji do zadań w życiu franciszkańskiego tercjarza.

Z okazji Roku Miłosierdzia Bożego oraz 1050-lecia chrztu Polski referat wygłosił Edward Przebieracz, skorzystał w nim z bogatego zasobu literackiego, pism i dokumentów oraz z literatury pięknej, któremu omawiane treści nie są obce.

Późniejszym ważnym elementem spotkania był muzyczny popis Gminnego Chóru „Canzona” pod kierownictwem i przy akompaniamencie pani Stefani Bieli. Tradycją już jest wspólne kołędowanie i biesiadowanie, które buduje wyjątkową atmosferę, sprawia, że czas umyka nader szybko.

O godzinie dwudziestej pierwszej o. Rufin poprowadził Apel Jasnogórski, podczas którego orędowano za wspólnotę, polecano indywidualne intencje Matce Bożej Częstochowskiej, modlono się za tych, którzy odeszli: o. Floriana, o. Konstantego, o. Sylwestra.

Gdy Wieczorek Franciszkański z Ojcem Świętym Franciszkiem się zakończył, nastąpiły chwile pożegnań i podziękowań. Styczniowo-sobotnie popołudnie i wieczór minęły niezauważenie, ale od razu zaliczono je do tych, które długo będą w duszy grać.

Wszystkim, którzy przyczynili się do uświetnienia tej wspaniałej uroczystości, do uczczenia miłosiernego Chrystusa w Roku Jubileuszowym Miłosierdzia Bożego, a także władzom gminy Kochanowice za wsparcie finansowe, dyrekcji Gminnego Centrum Kultury i Informacji w Kochanowicach oraz niezawodnym pracownikom tej instytucji – organizatorzy z kochanowickiej wspólnoty serdecznie dziękują.

Ewa Prandzioch

Aromat Górnego Śląska

CZEŚĆ I

Chłonec zapachy Górnego Śląska, w sensie dosłownym, możemy dojść do różnorodnych jego klimatów. Tych dobrych i tych mniej dobrych, i to w wielu aspektach: etnicznym, historycznym, patriotycznym, społecznym.

PODRÓŻ DO DZIADKÓW

Okres przed świętami Bożego Narodzenia. Grudzień 1954 roku. Była to podróż do dziadków na Śląsku, a dokładnie do Pszowa, niewielkiego miasta w powiecie rybnickim. Jako sześciolatek byłem pod wrażeniem, kiedy parowa „ciuchcia” wjeżdżała w długi tunel w miejscowości o takiej właśnie nazwie. Było to jeszcze przed Katowicami. Tam była pierwsza przesiadka do Rybnika. Już wcześniej, od Szopienic, wyraźnie zmienił się zapach powietrza. Nie był to miły aromat, ani też sama woń dymu z parowozu. Był to słodko-mdląco-gorzki swąd. Duszący i przygniatający do ziemi. Do tego widok charakterystycznych wież szynobowych z kręcącymi się kołami, dopełniały obraz Górnego Śląska. Ta kraina kopalń, hut, przemysłu. Mała ojczyzna mojej mamy i moich dziadków. Z Katowic do Rybnika jechaliśmy pociągiem. Z Rybnika do Rydułtów albo koleją, albo pekaesem, zależnie od dogodności połączenia. Z Rydułtów do Pszowa tylko autobusem, bo tu jeździła jedynie kolej towarowa, kopalniana. Cel końcowy już blisko. Duże zmęczenie. Kleją się oczy. Na horyzoncie jakieś pagórki, jakby góry, a na wprost największa z nich. Dymiąca, brunatno-szara, ...wysoka, długa i bardzo obszerna. Na końcu, z lewej strony, nagle się urywa prawie pionowym zboczem. Właśnie w tym miejscu wyrwa się wprzód wózek – koliba ciągnięty po linie. Wyrzuca swoją zawartość (szlaka, żużel, hasie; różnie to nazywają). Dociera do tego miejsca wzdłuż linii szczytowej, poziomo i po przewrocie wraca pusty w przeciwną stronę. Samej kopalni nie widać. Stoi schowana za kłębam dymów i oparów z sterzącym wysoko kominem. Tutejsi nazywają ją święta Anna.

Ta hałda, o której wcześniej mowa, stoi do dzisiaj. Jest to największy zwal odpadów pokopalnianych w Europie. Przez otwarte okno autobusu wdziera się ten sam co poprzednio: wyraźny słodko-mdląco duszący swąd – wyróżnik tego regionu. Za Hołdą jeszcze tylko Szpital Miejski, stadion sportowy „Górnika Pszów” i już, już rynek miasteczka, z charakterystycznym pomnikiem wyzwolicieli – żołnierzy radzieckich z typową, czerwoną gwiazdą na szczycie.

PSZÓW ULUBIONY

Między rynkiem położonym na wzniesieniu, a pięknym kościołem – bazyliką z dwiema wieżami, mieściła się piekarnia mojego wujka Henryka Krakowczyka. Kiedy czeladnicy wyjmowali z ciepłego, dużego pieca długie łopaty z chlebami, głośno wołali: *pozór! pozór! dajcie pozór!* Z rumianych bochenków unosiła się wspaniała woń. Mieszała się ona z ostrym, miłym aromatem ciastek anyżowych, które też tu wypiekano. Było to w Pszowie i do tego w piekarni mojego wuja. Oznaczało to kolejny, jakże inny zapach Śląska.

Sam fakt, że wkoło ludzie mówili nieco inaczej, nie dziwił mnie zbyt. Natomiast, kiedy do mojej matki Agnieszki jej koleżanki, znajome pokrzykiwały radośnie z daleka:

Neszka! Neska! – zdębiałem. Było to dla mnie – małego chłopca – niezrozumiałe i nie do przyjęcia. „Jak to mamó? Jak one Cię nazywają?” – pytałem. Dużo później ktoś z bliskich mi osób wyjaśnił i to gwarą: Wiysz smyku, Ślonsk wiela lat był pod Niymcem. W szkole, w sklepie, na ulicy ludziska godali po niemiecku. Po ichniemu padali Agnes, Agnezja. Do tego łoni zdrobniiali te końce. Od NES, NEZJA wzieni ta NESZKA.

Mój nokaut nastąpił nieco później, kiedy to babcia wysłała mnie do sklepu po zakupy. Napisała mi pięknie, *akuratnie* na kartce całą listę wiktuałów. Gdy przyszła maja kolej, zapomniałem o kartce i powiedziałem do pani sklepowej: *poproszę kilo mąki, kilo cukru, pół kilo kietbasy-metki, pół kilo kaszanki, musztardę (...coś tam, coś tam ...było tego więcej) i za resztę poproszę cukierków (w domyśle: landrynków).* Pani spojrzała na mnie ostro z góry i powiedziała: *Wyciepnycie mi tego małego gorola na bok, bo nie wiym, co łon ku mnie godo.* Dopiero po dłuższej chwili podeszła do mnie starsza pani i powiedziała: *A dyć to synek Neszki, od Krakowczyków, a do mnie powiedziała: Mosz pedzieć: dwa funty monki, dwa funty cukru, funt rusztu – bratszwajgra, funt krupnioków, zynft ...insze, insze..., a za reszta dejcie BOMBONÓW.*

Do domu na Rydułtowską trzy wróciłem z miną dość niewyraźną. Powiedziałem babci (*starce*): *Jo do sklepu już więcy nie puńdam, bo mnie tam nie chcom.* Tym razem gwara śląska sama się we odezwała.

KAWALEK HISTORII

Był rok 1953. Miałem wtedy 5 lat. Mój dziadek (*starzik*) Antoni Krakowczyk opowiadał mi tak: *Robili my trzi powstania. Naszym wodzem był Korfanty. W trzecim doszli my aż po święto Ana. Nie wszyscy kamraci wrócili. Niekierzi padli. Najprzód Niemce mieli tych pierońskich bojówkarzi. nasie chłopcy stracha ni mieli. Mieli swoich, co im sie nie dali zabrać. Kiej komisyjo; francyjaki i angliki zrobili głosowanie – RYFYRYNDUM, to pierzińskie SZWARGOTY przistali Wiela sie dało takich, co to tukej na Ślonsku byli rodzeni, Abo mieli rodziny i jak sie ino dało ocyganić.*

Koniec końców my wygrali. Wiuncy poła kopalniów werciało ku nom i tela też ziymi psziszło ku Polsce. We powstaniach pomagali nom Krakusy. Pociskali przez SZARO GRANICA Wiela sie ino dało bruni. A tyż krakusów – oficyjerów, bo ni mieli my tela swoich. Przeca my byli Górniki, a nie wojoki.

Jedenaście lat później, wraz z bratem Adamem, wybraliśmy się rowerami (on „JAGUAREM”, ja HURAGANEM”) z Lublińca na górę św. Anny. Pamiętam do dzisiaj duży, piękny amfiteatr, kościół i szpaler czeresni, rosnących wzdłuż szosy. Na górę św. Anny zapędziła nas nie tylko zwykła ciekawość, ale też duma z patriotyzmu i dokonania naszego autentą ze strony matki.

WEWBUSY I GOROLE

Pięcioletni Stasio Z. pyta swojego dziadka:
– *Kto to są WERBUSY, a kto to są GOROLE?*
– *Gorole synku, to som te werbusy i nie ino, kierzi nie som od nos ze Ślonska. Łuni tu przijechali ku nom, Abo som tam kanś we Polsce i łuni nie godajom po maszemu. Oni mogom być ze Warszawy, Kielc, Radomia, Łodzi i Wiela inszych miast i tysz wsiów, ino nie od nos.*
– *Tak dziadku, a te WERBUSY, to co za jedni?*

Stanisław Zoń • CD. NA STR. 13



Osiedle Nikiszowiec. Fot. Damian Siwiaszczyk.

– A dyć to som te gorole, co ich zwerbowali tukej na kopalnia, do huty, abo do inszej roboty. I ś niemi to je tak, że te krakusy jak już zarobiom i majom pieniądze, to im sie we tych łbach przewroco. Jdom ze szynku naprani, trzaskają lampy pszi ulicach, styrkajom sie naszych dziotłchów i dacharzom Wiela sie do. Može nie szyjscy tak łonaczom, ale wiela ki ś nich. Bez to my im nie pszajomy.

Miało to miejsce w latach pięćdziesiątych ubiegłego stulecia. Inaczej to dzisiaj wygląda. Katowice, Bytom, czy chociażby Lubliniec, a zresztą cały Śląsk, nie tylko Górny, to tygiel, w którym wymieszana jest ludność z całej Polski. Również w tej przedwojennej zza Buga; repatrianci. W centrum miast rzadko usłyszymy rozmowy prowadzone gwarą. Rozpoznamy ją jeszcze w wioskach odległych od dużych aglomeracji. Np. w Lubockim koło Kochanowic, w Pawełkach za Kochcicami, czy w Molnej lub Wędzinie w gminie Ciasna.

ŁUNI – SŁOWO KLUCZ

Wiele przypadków w najrozmaitszych okolicznościach świadczy o tym, że słowo ONI, po śląsku ŁUNJ jest wyrazem bardzo, ale to bardzo, uniwersalnym. Do tego nie zawsze dobrze zrozumianym.

Oto kilka przykładów z życia wziętych:

1. Majster mówi do ucznia:
 - Francik, punć tam do szopy, a pszynieś mi te łune, wiysz te une.
 - Wiem – odpowiada Franek. Wraca z szopy i daje mistrzowi do ręki klucz francuski. – Dyć jo Ci padoł, te une. Jo kcioł ruk cuk, a tyś mi psziwlyk Tyn pierz iński klucz.
2. Opowiada kolego koledze jak było na weselu u jego siostry:
 - Łuni padali łunymu, co by sie tak nie łonaczył, bo skiś tego mogę być haja i butel.

Kolego zrozumiał doskonale. Dyć to był jego kamrat. Łuni, czyli starsi (ktoś z rodziny, np. ojciec, wujek, dziadek) powiedział jemu – jego koledze, żeby się tak nie stawił, nie szarpał z innymi, bo może dojść do bójk i zamieszania. Do osób starszych młodzi mówią za dwoje, tzn. w liczbie mnogiej (WY, ONI) dla podkreślenia szacunku.

3. Mówi jedna frelka ku drugiej:

– Łuńskiego roku łuni byli na łunym. Wiyecie kaj.

Obie Ślązaczki, zżyte w tym środowisku rozumiały się doskonale. Aktualni nowożeńcy Greta i Handik byli na wczasach w Kraśniecku – Szczawnicy (i to trzy tygodnie – coś jakby miodowy miesiąc). Było to w ubiegłym roku, czyli jeszcze w grudniu, a był już styczeń.

4. W szkole średniej na lekcji fizyki pan profesor dla rozluźnienia atmosfery powiedział tak: – *Wszyscy jesteście tutejsi, a więc Ślązacy. Nie powinniście mieć problemu. Zadam wam zagadkę. Prawidłowa odpowiedź, to jedno słowo. Powtarzam, jedno słowo.*

Zagadka: „łuni łunymu, łuni łonymu, ...łuni łunymu... i tak kilka razy, a łuni sik na łogiyń”.

Nastąpiła długa cisza. Potem próby odpowiedzi. Niestety, okazały się niedokładne, niepełne... złożone z kilku słów. Wszystkie niedobre. W końcu profesor podaje właściwą odpowiedź: FOJERWERA.

To słowo niewątpliwie zapożyczone jest z języka niemieckiego. Takich właśnie germanizmów, także czechizmów, jest dużo w gwarze śląskiej. Jest to bagaż historii. Już po Bolesławie Krzywoustym, kiedy to czterej jego synowie walczyli o prymat i koronę, nastąpiło rozdrobnienie dzielnicowe. Śląsk wiele razy przechodził z rąk do rąk książąt czeskich, czy niemieckich. Może nie od razu cały, lecz urywany po kawałku. W związku z tym, także mając na uwadze położenie

Stanisław Zoń • CD. NA STR. 16

geograficzne, można dzisiaj wyróżnić kilka odmian gwary śląskiej. Wspólną ich bazą jest niewątpliwie „kwiecista” staropolszczyzna sprzed wieków (podobnie jak w gwarze góralskiej). Oto dobry przykład: STARKA, STARZIJ, a nie zapożyczone z niemieckiego UŁMA, UŁPA. Obecnie powiedzielibyśmy BABKA, DZIADEK. Inne przykłady: *pszi ku nom... Kan idzies? Kandy albo kaj sie podziewos?* To nic innego jak piękna staropolszczyzna, która do dzisiaj przetrwała w śląskiej gwarze.

Oto przykłady odmian GWARY ŚLĄSKIEJ:

ŚLĄSKA – cieszyńska

ŚLĄSKA – rybnicko-raciborska

ŚLĄSKA – żywiecka

ŚLĄSKA – bytomsko-zabrzańska

ŚLĄSKA – lubliniecko-tarnogórska.

Znalazłoby się może jeszcze kilka. Nie będąc do końca kompletnym w tej materii, odwołam się tu do tarnogórzana, profesora Jana Miodka. Z całą pewnością zainteresowanym udzieliłby wspaniałego wykładu. Dla poparcia powyższej tezy posłużyłoby się ETYMOLOGIĄ zarówno pojedynczych słów, wrażeń, czy też całych zwrotów.

Pan profesor czyni to zawsze z typową dla siebie werwą, swawolą i nieodłącznym łagodnym uśmiechem.

Z KTÓREJ CHMURKI?

Rok, a może półtora roku, po II wojnie światowej niedoleczone do końca płuco Mariana Z. domagało się poprawy. Czasy okupacji i partyzantki zostawiły swoje ślady. Polska Ludowa wysłała go do Głuchołaz, do sanatorium.

Tam pracowała pielęgniarka, młoda dziewczyna z Pszowa, Agnieszka Krakowczyk. Wiele lat później opowiadała: „Marian był wysokim przystojniakiem. Mówił czysto po polsku. Przyjechał tu z Radomia. Mówiło się wtedy >>trzymał fason<<. Do tego jeszcze ładnie śpiewał przedwojenne i partyzanckie piosenki”. Wystarczyła iskierka, by rozpaść serce dziewczyny. Agnieszka była bardzo ładną i zgrabną brunetką o dużym temperamencie. Dziewczyna z Pszowa: „gibka, zgrabna”. Zamiast „zgrabna” powinno tu być „ZWYRTNA”.

Chcieli się pobrać, ale w tamtych czasach nie było to takie proste. Ojciec „Neszki”, Antonin Krakowczyk, był za partym „HANYSEM”. Do swojej żony Luizy powiedział: – Mało tych werbusów u nas za dziołchami lato, to jeszcze tyn gorol z Radomia chciołby jedyna moja cera.

Marian Z. „stacjonował w Pszowie chyba ze dwa tygodnie. Szpanował, ubrany w zielony mundur i buty z wysokimi cholewami – oficerki wypucowane na glanc.

Zaloty Mariana nie skończyłyby się dobrze, gdyby nie późniejsza moja babka Luiza. Powiedział wtedy do męża: – A dyć o ta sama Polska ście wojowali. Ty we powstaniach z łon z partizantami po lasach niymca gunił.

Koniec końców, litr wódki stanął na stole w kamienicy przy ul. Rydułtowskiej 3. Antoni Krakowczyk, wierutny HANYS, dał jedyną córkę „Neszkę” „Maryjanowi” z Radomia.

Z tej chmurki ja się wziąłem. *Pół hanys, pół gorol*, a tak i tak – Polak.

W TRZECIM POKOLENIU

Na pogrzeb wujka Kostka Krakowczyka w 1990 r. pojechałem z młodszym synem Mirkiem. Miał wtedy 9 lat. W Pszowie wiadomo: spotkania z bliższymi i dalszymi krewnymi, kondolencje, kwiaty, wieńce, nastrój żałobny, stypa. Cmentarz położony jest blisko kościoła i rynku na okazałym wzniesieniu. Jego zbocza z rzadka porastały

30-, 40-letnie sosny. Nie zasłaniały jednak widoku wkoło. Wracaliśmy na skrót, schodząc po zboczach miejscami dość stromym, do domu wujostwa w Pszowie – Dołach, w sąsiedztwie pobliskich Krzyszkowic. Na zboczu, u podstawy góry, mijaliśmy po lewej stronie okazały, biały, ładny budynek szpitala. Ufundował go były mieszkaniec Pszowa, lekarz. Postawił warunek, że po jego bezpotomnej śmierci, siedziba rodu będzie przeznaczona na szpital dla miejscowej ludności. Po prawej stronie widok, poprzez rzadko rosnące sosny, na teren przykopalniany kopalni „Anna”. Rozległe szlamowisko, taśmociągi, tory, wagony, różne nietypowe maszyny, także te, porzucone w grząskim szlamowisku. W dalszej perspektywie przesłonięta mgłą, lecz częściowo widoczna, wieża wyciągowa. Zatrzymaliśmy się na chwilę. Mirka zatkało. Zadawał wiele pytań. Widać było, iż wyłaniająca się panorama kopalni widziana ze zbocza zaskoczyła i zachwyciła chłopca. Wiatr był od nas w kierunku kopalni. Więc tym razem nie był to zapach, ani aromat, ale klimat, aura, spotykana tylko tu: w Pszowie i na Górnym Śląsku. Po pewnym czasie, kiedy schodziliśmy już dalej, Mirek poprosił: „Tato, zadzwoń do mamy, do Lublińca, że nie przyjedziemy jutro, a za dwa dni”.

Widząc fascynację w oczach dziecka, tak zrobiłem.

Oto inne przygody Mirka w podróży. Wracaliśmy pociągiem z Katowic do Lublińca. Miał wtedy 5 lat. Na obrzeżach Bytomia widać było oryginalną, piękną, choć już opuszczoną zabudowę XIX koksowni. Charakterystyczne budynki z czerwonej cegły, obok specyficzne, wielkościenne bryły obiektów o płowych barwach. Na wieży budynku zegar. Zwróciłem uwagę synka w ten kierunek i zapytałem: „Co to może być; kopalnia, fabryka?”. Po krótkim namyśle Mirek na to: „To będzie ...to będzie ...WĘGIENIA WĘGLIKÓW”. Jak na 5-latkę niezłe wybrnął.

Jeszcze jeden powrót, też pociągiem. Tym razem z Opola do Lublińca. Małemu chłopcu dłużyła się podróż i uparczywie wyglądał przez okno. W pewnym momencie wypatrzył charakterystyczny fragment CENTRALNEJ CIEPŁOWNI, między ulicami (wtedy jeszcze) Waryńskiego i Zachodnią. Zawołał głośno: „Tato, patrz, CEBULEK wiadać. To już Lubliniec!”.

TRZEJ BRACIA

Luiz i Antoni Krakowcykowie mieli trzech synów i jedną córkę. Byli to kolejno: Henryk, Konstanty, Antoni i Agnieszka. Wśród swoich nazywani: Hainrich, Kuszant, Antek i Neszka.

We wrześniu 1939 r. nawała niemiecka posuwała się szybko od zachodu i południa. Linia frontu została przerwana. Wkrótce, kiedy to Rosjanie uderzyli w plecy od wschodu (pakt Ribentrop – Mołotow), Śląsk jak i cała Polska dostały się w ręce najeźdźców. Niestety, trzech synowie powstańca szybko wcieleni zostali do Wehrmachtu. Te tereny Rzeszy Niemiecka uważała za swoje. Nie dała wyboru poborowym. „Albo do wojska i na wojnę, albo kula w łeb”. Nie będę tutaj opisywał działań wojennych. Znamiennym był jeden fakt. Ten mianowicie, że los wojny dla trzech braci ułożył się tak, iż mogli stanąć na polu bitwy z bagnietem na sztorc naprzeciw siebie. Brat przeciw bratu na śmierć i życie. Oto dłaczego wojny, wielkie wojny to samobójstwo ludzkości – mieszkańców Ziemi. Rodzą się pytania: Dłaczego? Jak? Dla kogo?

Najmłodszy z braci, Antoni, walczył na froncie zachodnim. Przeciw Francji i Anglii. Zmówili się z kolegą. Przejdą na stronę Aliantów. „Przeca nasze ojce z Karfantym szli

Stanisław Zoń • CD. NA STR. 17

na Niyemca, a my co? ...przecież tak niemożliwe być". Nie było łatwo. Wiadomo, że dezercję na froncie „kula w łeb”. Antoni ranny, obaj pokiereszowani, głodni i zagubieni, dostali się jednak na stronę aliantów. Najmłodszy z braci wrócił z wojny w *szkownym* mundurze z naszywkami „Poland”.

Średni brat, Kostek, był na froncie wschodnim przeciw Sowieciom. Kiedy dostał się do niewoli, znalazł drogę do polskiej jednostki. Z „Kościuszkowcami” wrócił do kraju z orzełkiem na czapce.

Najstarszy z braci, Henryk, miał mniej szczęścia. Walczył w Afryce po niechcianej stronie. Walki były ciężkie. W początku 1944 r. został ranny. Po podleczeniu w LAZARECIE dostał przepustkę. W domu, w Pszowie dowiedział się od rodziny, że jego ukochana żona Maria nie żyje. Jak to się stało? Fatalny, głupi przypadek. Spacerowała z wózkiem po murawie stadionu na obrzeżach Pszowa. Nic nie zapowiadało tragedii. Nagle z chmur wyłonił się samolot aliancki, z warkoczem dymu na skrzydle i na ogonie. Pilot w uszkodzonej maszynie, widząc płat wolnej przestrzeni, zrzucił balast w postaci dwóch, czy trzech bomb. Maria, mimo zaskoczenia zachowała się przytomnie. Nakryła małą Urszulkę wózkami do góry dnem. A sama padła płacikiem na murawę. Dziecko przeżyło. Matka, niestety, nie. Tak się zdarzyło, że po zakończeniu wojny Henryk ożenił się z siostrą poległej Marii, z Salomeą. Z tego małżeństwa urodził się przyrodni brat Urszulki, Gienek.

Ich siostra Agnieszka (gdy zaczęła się wojna w 1939 r. miała 16 lat. Została wysłana na roboty do Niemiec, w okolicy Świeradów. Tam pracowała u *bauera* (pracowała na roli u niemieckiego gospodarza). Pełna nazwa obecnie Świeradów – Zdrój. Wtedy, przed wojną i w czasie okupacji, należała do Niemiec. Po wojnie wróciła do Pszowa. Stąd, w Polsce Ludowej, dostała pracę w Głuchołazach, w sanatorium. Tam poznała Mariana z Radomia, za którego wyszła za mąż.

REFLEKSJA KOŃCOWA – KOŁO SIĘ ZAMYKA

W „Aromatach Górnego Śląska” nie przestrzegałem chronologii zdarzeń. Nie siliłem się na zgrabną fabułę. Są to opisy wyrwane z pamięci, oparte na faktach autentycznych, prawdziwych. Jednych z wielu. Wybrałem te, na pewno nie wszystkie, które zbliżyły mnie do tej pięknej krainy jaką jest Górny Śląsk.

Pierwszą podróż tutaj odbyłem z matką Agnieszka mając zaledwie 2 latka. Z tej akurat niewiele pamiętam. Ani wtedy, ani później do 14-ego roku życia nawet nie przypuszczałem, że lata młodości (1962–1966, czyli okres nauki w LO im. A. Mickiewicza), dorosłe (czas studiów) i wiek dojrzały, spędzę właśnie tutaj, wśród aromatów i klimatów Śląska ...Górnego Śląska.

PS

Jedną z bohaterek tych opowiadań jest kopalnia „Anna”, w Pszowie. Opisy dotyczą lat 50-tych ubiegłego wieku. Dlatego jeszcze co nieco na jej temat. Przed II wojną światową oficjalną, urzędową nazwą, była „Święta Anna”. Śląska społeczność to w przeważającej masie katolicy. Po części ewangelicy. Można powiedzieć: mocno wierzący. Blisko im do Boga. Stąd w nazwie ŚWIĘTA. Po wojnie wiadomo, polskie władze pod dyktando SOWIETÓW odrzucały wszystkie religie na rzecz poglądu ateistycznego. Dlatego oficjalną nazwą była kopalnia „Anna”. A i tak cała niemal społeczność trzymała się nazwy „ŚWIĘTA ANNA”.

Obecnie mieszkańcy nazywają ją, jak komu pasuje. Co ciekawe i ważne, czego nie da się pominąć? Jest to fakt

połączenia się pod ziemią chodników kopalni „Anna” z chodnikami kopalni „Rydułtowy”. Nastąpiło to jeszcze w latach 90-tych ubiegłego stulecia. Najgłębsze wyrobiska są nawet poniżej 1000 metrów. Jeżeli przypomnę, że odległość między Rydułtowami a Pszowem, to całe 6 km, możemy sobie wyobrazić, jak wielkie „KRETOWISKO” powstało pod oboma miastami i okolicznymi wioskami. Jeżeli idzie o wielkość kopalni... Zapewne jest to jedna z największych w Polsce i nie tylko. Podobnie jak wspomniana wcześniej HOŁDA na jej powierzchni. Ta jest największa w Europie. Obie kopalnie stanowią jeden „organizm”. Jeden wielki zakład PRACY o wspólnej dyrekcji, personelu zarządzającym i licznej kadrze górniczej. Pytanie: czy to się opłaca? Przecież u nas, nie tylko na Śląsku, mało co się opłaca. Tutejsze złoża są bogate w węgiel o wysokiej kaloryczności. WĘGIEL KOKSUJĄCY. A skoro tak, to na szczęście się kalkuluje, warto. „GRUBA” przez wiele lat dawała pracę. Żywiła i wręcz chroniła tę społeczność; żony, dzieci, rodziny, *gwarów*. Tu, do pracy, przyjeżdżali ludzie z całej Polski. Wspomniani wcześniej WERBUSY.

Trącę tylko o ekologię tych terenów. Nie straszylbym truciem środowiska. Nauka, technologia idą do przodu. To już nie tylko filtry na kominach, czy przeróbka mas zwałowych w hołdach na nawierzchnie dróg. To także rekultywacja terenów pokopalnianych na powierzchni ziemi i wiele, wiele innych. KOPALNIA – GRUBA jako jedna z niewiele przetrwała. Może nas to tylko cieszyć.

Miejscowi powiedzieliby: RADOWAĆ.

Stanisław Zoń



Chałupa z Golezowa (1886 r.) – Zagroda bogatego chłopa – Pogórze Cieszyńskie (na terenie Górnos Śląskiego Parku Etnograficznego w Chorzowie). Fot. Damian Siwiaszczyk.

Piękne litografie spalonego kościoła z Łagiewnik Wielkich

Wielu z tych, którzy interesują się historią Lublińca i powiatu lublinieckiego lub też w ogóle dziejami Górnego Śląska i w tym celu przeszukujących zasoby internetowe, natknęło się z pewnością na przepiękne autolitografie (rysunki wykonywane na kamieniu i następnie osobiście odbijane przez autora na papierze lub kartonie) przedstawiające drewnianą architekturę najbliższych nam okolic – np. kościoły w Sadowiu, Boronowie, Koszęcinie, czy lubliniecką św. Annę. Wśród nich wyróżniają się z pewnością grafiki przedstawiające kościół św. Jana Chrzciciela w Łagiewnikach Wielkich. Są to wykonane w latach dwudziestych rysunki Wiktora Gosienieckiego. Łatwo znaleźć krótkie informacje o postaci tego artysty. Ale tylko w sieci. Dlatego proszę pozwolić mi na powtórzenie ich w lubianej jeszcze przez moją generację, papierowej formie.

Gosieniecki był malarzem, grafikiem, konserwatorem zabytków i pedagogiem. Urodził się 19 grudnia 1876 roku w Strzelnie. Ta znana ze słynnych romańskich kolumn miejscowość znajduje się obecnie na terenie województwa kujawsko-pomorskiego, ale historycznie to jeszcze Wielkopolska – Strzelno położone jest w mateczniku polskiej państwowości, w obszarze pomiędzy Kruszwicą, a Gniezmem. Gosieniecki najpierw ukończył Królewskie Gimnazjum w Gnieźnie. Po trzyletniej praktyce w warsztacie ojca (też był malarzem) ukończył berlińską szkołę rzemieślniczą. Następnie studiował w Kunstgewerbeschule w Monachium oraz w założonej tamże szkole malarskiej Stanisława Grocholskiego (1858 -1932). Potem, jak na artystę malarza oczywiście przystało, wybrał się w podróż do Włoch i Francji. Przebywał też w Galicji, gdzie współpracował ze Stanisławem Witkiewiczem. Owcem tej współpracy były zeszyty „Styl zakopiański” (wydane w latach 1904 – 1910). Od 1912 roku mieszkał w Poznaniu, gdzie wraz ze współnikiem założył zakład „Polichromia”, zajmujący się dekoratorstwem i witrażownictwem. Firma prosperowała znakomicie aż do wybuchu II wojny światowej.

W 1919 zainicjował powstanie w Poznaniu Szkoły Sztuk Zdobniczych, której został pierwszym dyrektorem. Następnie kierował jej Wydziałem Malarstwa Dekoracyjnego i Witrażownictwa. Pracował nad wieloma polichromiami w kościołach Wielkopolski i Pomorza. Był też autorem powszechnie znanej

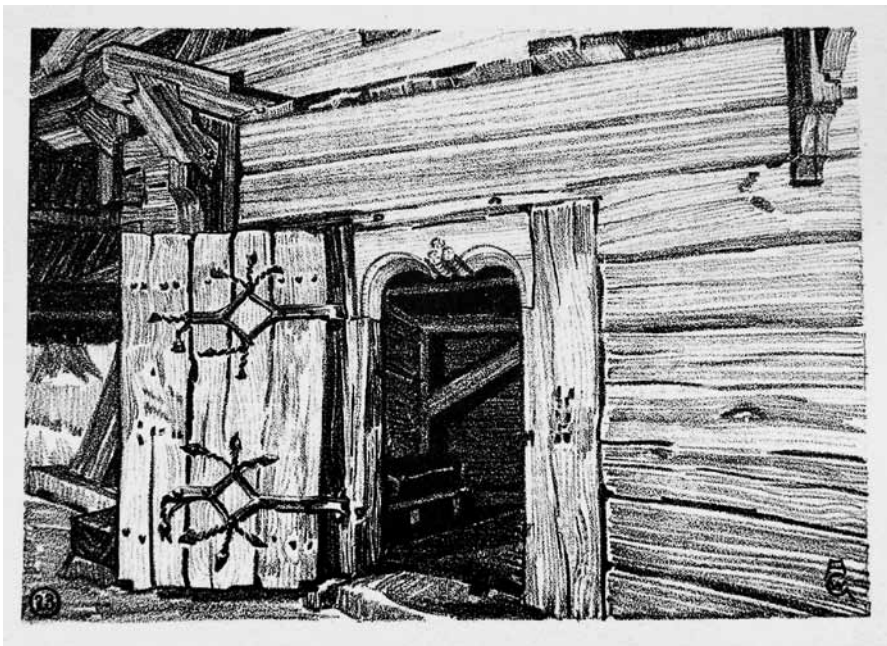
A. Baron • CD. NA STR. 19



Nr 1. W. Gosieniecki. Kościółek w Łagiewnikach Wielkich. W bocznej przybudówce znajdowało się wejście główne z rzeźbionymi odrzwiami. Źródło: Zabytki Sztuki Rodzimej Polski Zachodniej, Zeszyt III, Województwo śląskie, Poznań, nakładem własnym, MCMXXV, tablica 22.



Nr 2. W. Gosieniecki. Dębowe odrzwia oraz fragment wnętrza kościoła w Łagiewnikach Wielkich z figurami świętych Janów: Ewangelisty (po prawej) i Chrzciciela (po lewej z brodą). Źródło: Zabytki Sztuki Rodzimej Polski Zachodniej, III, tablica 21.



Nr 3. W. Gosieniecki. Drzwi wejściowe kościoła w Łagiewnikach Wielkich (spod wieży).
 Źródło: *Zabytki Sztuki Rodzimej Polski Zachodniej, III, tablica 23.*

dekoracji malarskiej pokrywającej wnętrza Muzeum Tatrzańskiego w Zakopanem (wygrał odpowiedni konkurs i zrealizował swój projekt w latach 1921 – 22). Podróżował po kraju, malując zabytki polskiej architektury i sztuki na ziemiach byłego zaboru pruskiego i Śląska. Wykonał poświęcony temu tematowi cykl litografii pt. „Zabytki Sztuki Rodzimej Polski Zachodniej”. Właśnie w ramach tego cyklu powstał „Zeszyt III. Województwo śląskie. Poznań, nakładem autora, 1925”. W nim zamieszczone są wspomniane na początku autolitografie z powiatu lublinieckiego. Publikacja wydana została w nakładzie 500 egzemplarzy. Zbór grafik pochodzących z tego zeszytu posiada w swoich przebogatyach zbiorach „największy wiejski antykwariat w Polsce” – firma Poliart z Kotów, gmina Tworóg (zob. <http://ksiazki.antykwariat.biz/>). Dzięki jego właścicielowi, Państwu Beacie i Jackowi Kalke możemy zaprezentować przykłady grafik Wiktora Gosienieckiego w o wiele lepszej jakości, aniżeli te znane z internetu. Na potrzeby naszej publikacji wybrałem te, które przedstawiają wygląd spalonego w dniu 3 października 1961 roku, drewnianego kościółka pod wezwaniem św. Jana Chrzyciela z Łagiewnik Wielkich. Świątynia ta powstała, wg daty z belki tęczowej (poprzeczna belka spinająca łuk znajdujący się nad przejściem z prezbiterium do nawy głównej) w roku 1691. Zbudował ją cieśla Jan Mikołajczyk (w łac. oryg. Ioannes Nicolaides). Najprawdopodobniej powstała na bazie wcześniejszego, mniejszego kościoła zbudowanego w tym samym miejscu ok. połowy XV w. Z owego starożytnego kościoła, jak uznają niektórzy autorzy (Józef Matuszczak), zachowały się rzeźby świętych Jana Chrzyciela i Jana

Ewangelisty. Ten zabytek drewnianej architektury sakralnej utracił ziemia lubliniecka w jesienią 1961 roku. Na szczęście kilkadziesiąt lat wcześniej był w Łagiewnikach, ze swoją teką rysownika, Wiktora Gosienieckiego.

W 1939 roku Niemcy wysiedlili Gosienieckiego ze stolicy Wielkopolski, a szkołę oczywiście zamknęli. Po wojnie Gosieniecki powrócił do Poznania. Pracował w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych oraz w Liceum Plastycznym. Zmarł w Gdańsku w roku 1952. Nie wiem, ile jest dzieł sztuki dotyczących ziemi lublinieckiej. Jednak niewątpliwie grafiki Wiktora Gosienieckiego do takich należą i chyba warto byłoby, gdyby stały się trwale obecne w świadomości mieszkańców. Być może byłaby do pomyslenia reedycja całego Zeszytu III Zabytków Sztuki Rodzimej Polski Zachodniej? Może zakup i umieszczenie w godnym miejscu tych dotyczących naszego powiatu...? Może wystawa poświęcona grafikom i postaci Gosienieckiego w naszym muzeum...?

A. Baron

W ARTYKULE WYKORZYSTANO:

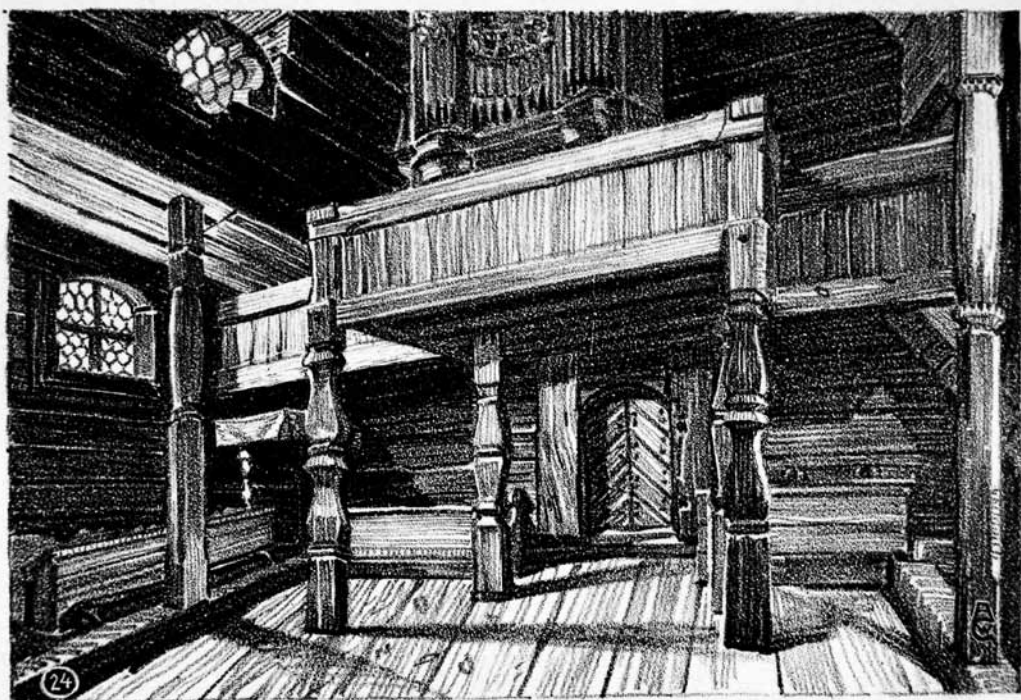
Historia Muzeum Tatrzańskiego, [dostęp 13 lipca 2016 r.], <http://www.muzeumtatrzańskie.com.pl/?strona,czesc,pol,glowna,1383,0,113,2,1383,ant.html>

Wiktor Gosieniecki, [dostęp: 21 czerwca 2016 r.], <http://www.abebooks.com/book-search/author/wiktor-gosieniecki/>

Wiktor Gosieniecki, 19 maja 2016, [dostęp: 12 lipca 2016 r.], https://pl.wikipedia.org/wiki/Wiktor_Gosieniecki

W. Gosieniecki, *Zabytki Sztuki Rodzimej Polski Zachodniej, Zeszyt III, Województwo śląskie, Poznań, nakładem własnym, MCMXXV*. Grafiki użyżone przez antykwariat internetowy, Poliart. Beata Kalke, Koty, ul. Ogrodowa 20, gmina Tworóg.

J. Matuszczak, *Data budowy kościoła drewnianego w Łagiewnikach Wielkich i najstarsze płaskorzeźby ludowe na Śląsku, Rocznik Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu, Zeszyt nr 9, J. Matuszczak, Studia nad kościołami drewnianymi na Górnym Śląsku, Bytom 1989, s. 145 – 160*



Nr 4. W. Gosieniecki. Wnętrze kościoła w Łagiewnikach Wielkich z widocznym chórem i organami. Źródło: *Zabytki Sztuki Rodzimej Polski Zachodniej, III, tablica 24.*

Obiekty mostowe węzła kolejowego Herby Nowe (I)

POCZĄTKI KOLEJNICTWA W HERBACH

Za wstępną datę pojawienia się dróg żelaznych w Herbach należy uznać końcówkę XIX wieku, kiedy miejscowość ta była punktem granicznym pomiędzy Prusami a Cesarstwem Rosyjskim. To właśnie tutaj swój początek i koniec miała linia w kierunku Lublińca (i dalej: Opola i Wrocławia). Ówczesna nazwa stacji, Preussisch Herby (Herby Pruskie) podkreślać miała przynależność państwową do monarchii Hohenzollernów. Niewiele później, już na początku XX wieku, do miejscowości Herby po stronie rosyjskiej, dotarła wąskotorowa linia kolejowa z Częstochowy, przekuta w przededniu I wojny światowej (1911 rok) na tor szeroki i dająca możliwość podróży do Kielc (Kolej Herbsko-Kielecka). Do dnia dzisiejszego jedna ze stacji kolejowych w Kielcach nosi nazwę „Kielce Herbskie” – właśnie od nazwy linii, przy której się znajduje.

W początkowym okresie w Herbach nie było możliwości bezpośredniego przejazdu przez granicę państwową. Dopiero kilka lat po oddaniu obu szlaków kolejowych zadbało o odpowiednie przedłużenie torów: rosyjskiego do Herb Pruskich, i niemieckiego – do Herb Ruskich¹.

GENEZA WĘZŁA KOLEJOWEGO

Odrodzenie państwa polskiego w 1918 r. spowodowało przejęcie linii kolejowych pod polski zarząd. Równocześnie przebieg granicy II Rzeczypospolitej, ustalony w wyniku powstań i plebiscytów, był w wielu miejscach niekorzystny w aspekcie transportu kolejowego. Polsce przyznano część Górnego Śląska wraz z zapleczem przemysłowym oraz dostęp do Morza Bałtyckiego (bez Gdańska)². Jednym z motorów napędowych słabej gospodarki odradzającego się organizmu państwowego miał być transport węgla z górnośląskich kopalni w celach eksportowych.

Problematycznie przedstawiała się jednak kwestia szlaków komunikacyjnych. Z Górnego Śląska w kierunku północnym, przez terytorium Polski, przebiegała w zasadzie jedynie linia Warszawsko – Wiedeńska (przez Sosnowiec, Częstochowę, Kozłowski). Pozostawienie po stronie Niemiec węzłów kolejowych w Opolu, Kluczborku i Wosowskiej (dziś Fosowskie, dzielnica Kolonowskiego) znacznie komplikowało i tak już skromne możliwości państwa polskiego. Panujący od roku 1925 konflikt gospodarczy z Niemcami (tzw. „wojna celna”) wymogła na władzach II Rzeczypospolitej podjęcie decyzji o budowie linii kolejowej o przebiegu „północ-południe”, łączącej Górny Śląsk z odzyskanym Pomorzem.

POWSTANIE HERB NOWYCH

Ponieważ część linii kolejowych, jak napisano powyżej,

1 Zbigniew Chromik, *Spod lublinieckiego zamku w daleki świat. Początki kolejnictwa w Lublińcu*, [w:] Maciej Janik (red.), *Zamek Lubliniecki*, Fundacja „Zamek Lubliniecki”, Lubliniec 2008, s. 191–192.

2 Wojciech Roszkowski, *Historia Polski 1914–1997*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1998, s. 28–30.



Herby Nowe, dworzec. Fot. Zbigniew Chromik, 11 sierpień 2011 roku.

znajdowało się na terenie wrogich Polsce Niemiec, rząd Rzeczypospolitej został upoważniony do budowy brakujących linii, omijających Republikę Weimarską. Na mocy odpowiedniej ustawy w 1925 roku³, wytyczono nową linię od stacji Kalety przez Herby, Krzepice i Wieluń do Podzamcza (dzisiejszy Wieruszów), gdzie łączyła się ona ponownie z linią biegnącą w kierunku Poznania. Wraz z podjęciem tej decyzji jasne stało się, że nowy szlak będzie przecinał się w miejscowości Herby z istniejącą już, i opisaną nieco wcześniej, linią kolejową Lubliniec – Częstochowa – Kielce.

Ostatecznie, nową linię o długości 114 km, udało się zbudować w ciągu zaledwie jednego roku (!). Nowy szlak został oddany pod koniec 1926 roku, chociaż przez kolejne miesiące był jeszcze wykańczany.

Dzięki budowie nowej linii kolejowej, stacja Kalety stała się lokalnym węzłem kolejowym, a kolej dotarła do Boronowa (kilka lat później także do Strzebinia), ułatwiając komunikację ze stolicą ówczesnego autonomicznego województwa śląskiego – Katowicami. Konieczna stała się także możliwość połączenia nowej linii Kalety – Podzamcze z linią Lubliniec – Częstochowa; w tym celu wybudowano niespełna 3-kilometrową „łącznicę” Herby Nowe – Herby Stare.

Na nowej stacji Herby Nowe powstał okazały gmach dworcowy, który dziś, choć już bez kasy biletowej i poczekalni, prezentuje się wciąż jako obraz dawnej świetności polskiego kolejnictwa. W budynku dworca znajduje się muzeum kolejowe – Sala Tradycji Magistrali Węglowej Śląsk – Porty im. inż. Józefa Nowkuńskiego⁴, którego nazwisko łączy się nierozdzielnie z koleją w Herbach. Był on głównym „architektem” budowy zarówno linii Kalety – Herby Nowe – Podzamcze, jak i „swojego ukochanego dziecka” – magistrali węglowej, o której będzie mowa w dalszej części. Informacje o działalności muzeum znajdują się na końcu artykułu.

Zbigniew Chromik • CD. NA STR. 21

3 Ustawa z dnia 23 czerwca 1925 roku o budowie kolei Kalety-Herby-Wieluń-Podzamcze (Dz. U. z 1925 Nr 74, poz. 514).

4 Józef Nowkuński (ur. w 1866 r. w Kownie, zm. w 1952 r. w Warszawie, w czasie zaborów kierował budową różnych linii kolejowych na terenie carskiej Rosji. W Polsce stał się znany dzięki budowie dwóch szlaków kolejowych – linii Kalety-Podzamcze (1926 rok) oraz linii Herby Nowe-Inowrocław-Gdynia (lata 1928–1933).

MAGISTRALA WĘGLOWA

Wskutek dalszej konieczności rozbudowy sieci kolejowej w odrodzonej Polsce, stosunkowo dobrej koniunktury ekonomicznej oraz możliwości eksportu polskiego węgla do Skandynawii, pod koniec lat dwudziestych rząd zdecydował o budowie linii kolejowej Herby Nowe – Inowrocław. To zamierzenie zaliczane jest dziś do trzech największych inwestycji gospodarczych II Rzeczypospolitej, obok budowy portu w Gdyni i tworzenia Centralnego Okręgu Przemysłowego (COP). Obok wspomnianego już Józefa Nowkuńskiego, z budową magistrali węglowej i powiązanego z nią portu morskiego w Gdyni, wiąże się nazwisko najświetniejszego menedżera międzywojennej Polski – ministra przemysłu i handlu, później ministra skarbu i wicepremiera Eugeniusza Kwiatkowskiego⁵.

Decyzja o budowie przedmiotowej drogi żelaznej zapadła na mocy odpowiedniego rozporządzenia Prezydenta RP w 1928 roku⁶, i już dwa lata później Herby Nowe uzyskały połączenia z Łodzią i Kaliszem, dzięki nowemu węzłowi kolejowemu w Zduńskiej Woli Karsznicach. Z kolei szlak ze Zduńskiej Woli do Inowrocławia oddany został wiosną 1933 roku.

Historia budowy linii – magistrali węglowej nie wchodzi w zakres niniejszego artykułu. Doczekała się ona wielu publikacji, w tym książek i artykułów, z których zapewne najciekawszą pozycję stanowi dzieło Grzegorza Kotlarza, Henryka Dąbrowskiego i Edwarda Wieczorka *Magistrala Węglowa*, wydane w Rybniku w 2008 r.

OBIEKTY MOSTOWE W HERBACH NOWYCH

Obok ciekawej historii węzła kolejowego w Herbach Nowych na pewno na uwagę zasługują też liczne obiekty inżynierskie, w tym mosty kolejowe, ulokowane w jego obrębie. Zasadniczo każdy z obiektów powstał nie tylko z powodu danego ukształtowania terenu, lecz także z zamiaru zapewnienia maksymalnej ilości bezkolizyjnych skrzyżowań z innymi ciągami komunikacyjnymi, niezależnie, czy kolejowymi, czy też dla ruchu kołowego.

W niniejszym artykule zdecydowałem się na wyróżnienie i opisanie czterech obiektów mostowych, z których zdecydowanie najciekawszym jest „Żelazny Most”. Pozostałe budowle to: „Zielony Most”, „Puszczewski Most” oraz „Kacapski Most”. Wszystkie wymienione mosty znajdują się w ciągu magistrali węglowej.

KACAPSKI MOST

Nazwa tego obiektu nie jest nazwą oficjalną, a bardziej potoczną, chociaż umieszczana jest na mapach topograficznych. Wydaje się, że pochodzi ona od trochę pogardliwego i nieznacznie pejoratywnego określenia w Polsce obywateli narodowości rosyjskiej⁷. Jej związek z opisywanym obiektem

5 Eugeniusz Kwiatkowski (ur. 1888 r. w Krakowie, zm. 1974 r. w Krakowie) – legionista, w latach 1926-1930 minister przemysłu i handlu, w latach 1935-1939 wicepremier i minister skarbu. Twórca najważniejszych inwestycji gospodarczych międzywojennej Polski. Dr *honoris causa* Uniwersytetu Gdańskiego, odznaczony Orderem Orła Białego.

6 Rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 7 lutego 1928 roku w sprawie budowy kolei Herby – Inowrocław (Dz. U. z 1928r., Nr 16, poz. 123).

7 Podobnego zdania jest Jolanta Wróbel. Zdaniem badaczki, słowo „kacap” pochodzi od pejoratywnego określenia Moskali. Por. Jolanta Wróbel, *Mikrotoponimia powiatu lublinieckiego*, [w:] Maciej Janik (red.), *Zamek...*, s. 39.



Kacapski Most – widoczne przyczółki pod budowę II toru.
Fot. Zbigniew Chromik, 14 czerwiec 2006 roku.

mostowym jest przypuszczalnie taki, że przedmiotowy most znajduje się niemal dokładnie na dawnej granicy prusko-rosyjskiej. Także dziś most znajduje się w ciekawym miejscu – stanowi niemal dokładnie punkt styczności granic powiatów: częstochowskiego, kłobuckiego i lublinieckiego.

Ze względu bezkolizyjne skrzyżowanie linii kolejowej nr 181 (dzisiejsza linia Herby Nowe – Wieluń – Kępno, dawny szlak Kalety – Podzamcze) z magistralą węglową, jakie zastosowano w Herbach Nowych, tory linii rozchodzą się na stacji Herby Nowe, tworząc pewnego rodzaju pętlę, i łączą się znów w linię dwutorową w okolicy ok. 3,5 km od stacji w pobliżu dawnego posterunku odstępowego Puszczew. Z tego powodu na „Kacapskim Moście” położono tylko jeden tor, aczkolwiek, co widoczne na poniższej fotografii, most posiada przyczółki przygotowane pod tor drugi.

W pobliżu opisywanego mostu znajdował się niegdyś dom torowego (tormistrza), których wzdłuż szlaku magistrali węglowej (a także linii Herby Nowe – Wieluń i Częstochowa – Chorzew Siemkowice) można spotkać całą masę (wszystkie wg jednego projektu), średnio po 4–5 km. Niestety, spora część tych budynków współcześnie nie jest już zamieszkana, niektóre z nich, w tym także budynek w pobliżu „Kacapskiego Mostu”, zostały rozebrane⁸.

ZIELONY MOST

Obiekt ten znajduje się przed rozwidleniem torów magistrali węglowych (patrzac w kierunku południowym), o którym pisałem powyżej. Elementy mostu malowane są w kolorze zielonym, być może stąd jego nazwa. Pod mostem znajduje się dukt leśny łączący miejscowości Herby i Jezioro (powiat kłobucki), w pobliżu znajduje się leśna dostrzegalnia przeciwpożarowa. Od tego miejsca, patrzac w kierunku północnym, magistrala węglowa biegnie jak prosta linia, bez najmniejszych łuków i zakrętów. Stojąc w obrębie obiektu, przy wykorzystaniu dobrej lornetki, widać okolicę kolejnej stacji za Herbami Nowymi – Wręcycę Wielką, oddaloną o ok. 6 km. Do „Zielonego Mostu” można dotrzeć pieszo lub rowerem od drogi powiatowej Herby – Puszczew, kierując się na północny zachód.

Zbigniew Chromik • CD. NA STR. 22

8 Dom torowego w okolicy Kacapskiego Mostu rozebrano w 2011 roku.



Zielony Most – widok w kierunku północnym, okolica rozwidlenia torów. Fot. Zbigniew Chromik, 28 maj 2007 roku.

PUSZCZEWSKI MOST

„Puszczewski Most” stanowi bezkolizyjne skrzyżowanie z przebiegającą pod magistralą węglową drogą powiatową, łączącą Herby i Puszcze. Nazwa, co nie dziwi, pochodzi od nazwy pobliskiej miejscowości, chociaż w pobliżu mostu znajduje się dziś już nieczynny posterunek odstępowy „Puszczew”⁹, wyłączony z eksploatacji w 2009 r.



Puszczewski Most. Fot. Adam Sołtykowski, 23 wrzesień 2007 roku.

ŻELAZNY MOST

Obiekt ten jest największym i najciekawszym z prezentowanych mostów. Jest skrzyżowaniem wielopoziomowym; nad duktem leśnym „Szlakowa Droga”, przebiegającym w kierunku miejscowości Łębki, przebiega jednotorowa linia kolejowa z Herb Nowych w kierunku Wielunia, opisana już w niniejszym artykule. Nad linią „wieluńską” z kolei przebiega jeden tor magistrali węglowej, który dochodzi do drugiego toru magistrali, już w obrębie stacji Herby Nowe.

Żelazny Most jest jednym z tych obiektów, z których

⁹ Posterunki odstępowe (inaczej: blokowe) erygowano na odcinkach między stacjami kolejowymi w celu zwiększenia przepustowości szlaku. W ten sposób na odcinku między dwiema stacjami mogły znajdować się w jednym kierunku dwa składy. Ze względu na rozwój techniki i zmniejszenie ruchu kolejowego obecnie posterunki odstępowe są powoli likwidowane. Czynne posterunki na terenie powiatu lublinieckiego znajdują się dziś jedynie w Kochciach i Rusinowicach (tu wraz z przystankiem osobowym) na linii Nr 143 Kalety-Wrocław-Mikołajów.



Żelazny Most. Fot. Katarzyna Pietrzak, 13 październik 2013 roku.

słynie popularna „węglówka” i stanowi ulubiony cel miłośników kolei. Most znajduje się w odległości ok. 2,5 km od budynku dworca w Herbach Nowych. Można do niego dotrzeć pieszo lub rowerem od Herb Nowych, Jeziora, Łebków lub przysiółka Głąby. Przy dobrej widoczności widać go z pomostu nad torami na stacji Herby Nowe.

ZAMIAST ZAKOŃCZENIA – HERBY NOWE DZIŚ

Herby Nowe kojarzą się przede wszystkim z ruchem towarowym, jako jedna z największych stacji węzłowych na magistrali węglowej. Przez lata jednak stacja była ważnym węzłem dla ruchu pasażerskiego (jeden z trzech najważniejszych węzłów kolejowych w dawnym województwie częstochowskim).

Regres kolei w Polsce w ostatnich latach, szczególnie w zakresie połączeń lokalnych, spowodował, że przez Herby Nowe przejeżdża dziś zaledwie garstka pociągów osobowych. Zamknięto kasę, zlikwidowano poczekalnię. Natomiast w obiekcie dworcowym znajduje się jedno z ciekawszych miejsc dla miłośników kolejnictwa w regionie – wspomniana już wcześniej Sala Tradycji Magistrali Węglowej Śląsk Porty im. inż. Józefa Nowkuńskiego, budowniczo linii. To małe muzeum jest miejscem „pielgrzymek” „mikoli” (potoczna nazwa miłośników kolei); powstało z inicjatywy śp. Henryka Dąbrowskiego, nieżyjącego już, niestety, twórcy i pierwszego kustosa Sali. Kolejarz Henryk Dąbrowski, którego sylwetka była już prezentowana w „Ziemi Lublinieckiej”¹⁰, był przez kilka lat zawiadowcą w Herbach Nowych i stworzył w kilku pomieszczeniach budynku dworcowego fantastyczny mikroświat kolejnictwa, pełen pamiątek, suvenirów, literatury i innych ciekawostek, związanych z tym miejscem i nie tylko. Po śmierci twórcy Sali Tradycji nikt nie dopuszczał myśli o zamknięciu czy likwidacji tego świadectwa miłości i pasji wykonywanego zawodu. I tak Sala Tradycji Magistrali Węglowej istnieje i prosperuje do dziś.

Zainteresowanych zapraszam do zwiedzania Sali Tradycji po umówieniu się z opiekunami: Andrzej Koza, Patryk Sieczka

Dodatkowe informacje można uzyskać na stronie internetowej: <http://www.izbatradycji.pl/Start/index.php>

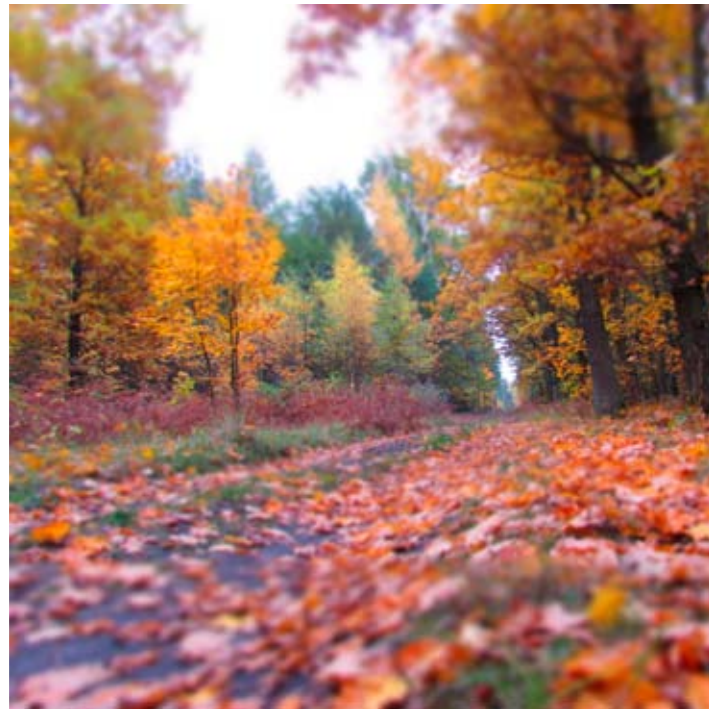
Zbigniew Chromik

¹⁰ Jan Myrcik, *Wspomnienie o śp. Henryku Dąbrowskim (1949–2011)* [w:] „Ziemia Lubliniecka – Magazyn Społeczno-Kulturalny” Nr 1/2011 (86), s. 4.

Pradzieje Lublińca

Tu była dzika puszcza, która od prawieka
Nie znała, co to ręka i noga człowieka.
Nie wiodły przez nią ścieżki, drogi ją mijały
Mchy bujne, drzewa stare rosły tak, jak chciały.
Dnia pewnego, (a były to odległe czasy)
Przybył na polowanie w te przepastne lasy
Sławny książę Władysław, Piast, władca Opola.
Wraz z nim jego drużyna, łowcy i psów sfora.
Gdy łowy się skończyły, pan odpocząć raczył.
Wszedł na wzgórze. Zachwycił się tym, co zobaczył:
Zielenią, królującą w całej okolicy
Słońcem, skąpanym w falach rzeki Lublinicy...
I na cokolwiek spojrział, piękne było wszystko.
„Lubi mi się tu bardzo kaplicę myśliwską
Zbudować, przy niej zamek” – powiedział drużynie.
Słowa te się ziściły w Władysława czynie.
Wkrótce w miejscu, gdzie były stare, gęste knieje
Wzrosło miasto Lubliniec. To jego pradzieje.

Barbara Purgał – Kutno



„Jesienny las”. Fot. Aldona Buchenfeld-Bartos.

15 lat minęło

Z okazji jubileuszu „Ziemi Lublinieckiej”, w sali posiedzeń Starostwa Powiatowego, odbyło się uroczyste spotkanie redakcji czasopisma z najbardziej zasłużonymi współpracownikami. Swoją obecnością zaszczylił nas również starosta Joachim Smyła wraz z najbliższymi współpracownikami. Redaktor naczelny Bogusław Hrycyk dokonał podsumowania 15-stu lat pracy redakcji. Starosta złożył podziękowania wszystkim członkom i współpracownikom gazety oraz wręczył dyplomy i upominki. Wykonano również pamiątkowe zdjęcie.

Aktualny skład redakcji: Bogusław Hrycyk – redaktor naczelny, Arkadiusz Baron, Zbigniew Chromik, Krzysztof Kanczlerz, Marzena Koza, Andrzej Musioł, Wojciech Poznański, Edward Przebieracz, Sebastian Ziółek i Mariusz Żymierski.

Z redakcją nadal współpracuje Jan Myrcik – poprzedni redaktor naczelny, współpracują także: Stanisław Zoń, Damian Gołąbek, Krystyna Bartocha, Michał Janusz, Krzysztof Brzezina, Czesław Tyrol, Sylwin Behcicki, Maria Dziuk, Andrzej Rojek, Edward Goszyk, Piotr Chmiel i wiele innych osób – pasjonatów tej Ziemi.



Jubileuszowe spotkanie Redakcji. Od lewej: Andrzej Rojek z żoną, wicestarosta – Tadeusz Konina, Jan Myrcik, sekretarz powiatu – Sylwia Fronczek, Jan Myrcik, Krystyna Bartocha, Sebastian Ziółek, Damian Gołąbek, Czesław Tyrol, Justyna Pasiak, Marzena Koza, Mariusz Żymierski, Maria Doleżych, Zbigniew Chromik, Kazimierz Bromer, Andrzej Musioł, starosta – Joachim Smyła, Aneta Konieczny.



Dzisiejszy plac Mikołaja Kopernika – popularny Mały Rynek – podobnie jak w latach 70. ubiegłego wieku pozostał miejscem spotkań lublińczan oraz łącznikiem pomiędzy Rynkiem a pozostałymi częściami miasta. Tak jak dawniej, skupione są wokół niego punkty handlowo-usługowe. Większą część Małego Rynku zajmuje skwer, kilkakrotnie przebudowywany. Niegdyś jego centrum stanowiła makieta rakiety, przypominająca pierwszy lot człowieka w kosmos, następnie klomb, obsadzony kwiatami. Obecnie w centrum stoi rzeźba upamiętniająca św. Edytę Stein, patronkę miasta i jedną z patronek Europy. Bez zmian pozostał jedynie kamienny murek, otaczający centrum rynku. Nie istnieje już studnia z pompą ręczną. Była to pozostałość dawnego charakteru placu – miejsca targowego w XVIII i XIX wieku, nazywanego Kaczym lub Solnym Rynkiem. Mały Rynek był też świadkiem wydarzeń politycznych. W dniu 2 maja 1920 roku miała tam miejsce polska manifestacja, upamiętniająca



rocznicę uchwalenia konstytucji z 1791 roku. Manifestanci zostali zaatakowani przez bojówki niemieckie. Zdjęcia przedstawiające atak na sztandary z Orłem Białym obieły wówczas polską prasę wydawaną na Górnym Śląsku. W 1938 roku uczniowie Liceum im. Adama Mickiewicza powiesili na znajdującej się na placu latarni kukłę Adolfa Hitlera, celem jej spalenia. Akcja ta miała na celu zwrócenie uwagi na łamanie praw mniejszości polskiej w Niemczech, a zwłaszcza na szykanowanie uczniów szkół polskich oraz ich rodziców. Profesorowie i uczniowie lublinieckiego liceum byli bardzo mocno zaangażowani we współpracę ze Związkiem Polaków w Niemczech, a ich środowisko było inwigilowane przez Gestapo. Ostatecznie nie doszło do podpaleń, ale akcja ta wywołała protest niemieckiego konsulatu.

Tekst: Sebastian Ziółki

Zdjęcia: Wojciech Poznański

Zdjęcia archiwalne: ze zbiorów Andrzeja Gajdy

